MUZEUM
NARODOWE
W LUBLINIE

Biuro Dzienników i Ogłoszeń
„REKORD"
LUBLIN,
ul. Kapucyńska 2.—Filja ul. Fokçai 11.
Filja w Warszawie.
Pisma codzienne i perjodyczne, polskie i cudzoziemskie. Prenumerata stała z odnoszeniem do domów. Biuro załatwa w Warszawie wszelkie polecenia, tyczące się prasy szybko i dokładnie.

PIERWSZORZĘDNA
RESTAURACJA
HOTELU „VICTORIA"
Codziennie koncerty od 8-ej do 1-ej.

„SPRAWA POLSKA"
Organ Wydziału Narodowego Lubelskiego
i
„POLSKA LUDOWA"
do nabycia w lokalu Sekcyi Prasy Wydziału Nar. Lub. Namiestnikowska 8, parter.

FABRYKA RĘKAWICZEK
MAGAZYN GALANTERYJNY
I SKŁAD BIELIZNY MĘZKIEJ
STEFANA MADLERA
w Lublinie,
ulica Kapucyńska № 2.
(róg Krakowsk.-Przedm.)

DRUKARNIA „POŚPIESZNA"
oraz
Jedyna w Lublinie Polska Pracownia Stempli Kauczukowych
St. DŻAŁ
Lublin, ul. Szpitalna № 3 (obok kasy Przemysł. Lub.)

Biuro Ogrodnicze
róg Kapucyńskiej—Namiestnikowskiej
poleca kwiaty i wszelkie w zakres ogrodnictwa wchodzące prace. Ceny przystępne.

KRAWIEC MĘSKI
Piotr PETZ
Krakowskie-Przedmieście Nr. 60.
Przyjmuje obstalunki wszelkie: wojskowe, cywilne i t. p.

Bracia DĘBOWSCY
DAWNIEJ S. RAKSZEWSKI
SKŁAD WIN i TOWARÓW KOLONJALNYCH
Krakowskie-Przedm. 52.
Zaopatrzony w wyborowe gatunki starych, wysokiej wartości win, koniaków i likierów oraz towarów kolonjalnych i delikatesów.

Pierwszorzędna
Restauracja
HOTELU „EUROPEJSKIEGO".

Teatr i Kinematograf
„Panteon"
Zmiany programu dwa razy w tygodniu.

CUKIERNIA
W. RUTKOWSKIEGO
W LUBLINIE,
Krakowskie-Przedmieście w domu Kasy Pożyczk. Przemysł. Lubelskich.
TELEFON № 163.

CUKIERNIA
B. TRZCIŃSKIEGO
w LUBLINIE,
Krakows.-Przedm. róg. Szopena

Mleczarnia
Nadbystrzycka
Szpitalna 2.

ZAKŁAD MALARSKI
St. KALINOWSKI
przy zakładzie artyst. pracownia szyldów wszelkiego rodzaju.
Lublin, Krak.-Przedm. Nr. 30.

SKŁAD PAPIERU, MATERJAŁÓW PIŚMIENNYCH, RYSUNKOWYCH I PRZYBORÓW ARTYSTYCZNO-MALARSKICH
p. z. K. PIGŁOWSKIEGO
w Lublinie, ul. Kapucyńska № 2.
Dostawa do biur, kantorów, fabryk i t. p. Przyjmuje wszelkie zamówienia na roboty drukarsko-litograficzne.

Restauracja
J. FODEMSKI
w Lublinie,
Krakowskie-Przedm. 52.

HURTOWY SKŁAD MATERJAŁÓW APTECZNYCH I FARB
J. MAGIERSKIEGO
i W. TURCZYNOWICZA
W LUBLINIE.

SPECYALNA
PRACOWNIA REKAWICZEK
E. KOZŁOWSKI
W LUBLINIE,
ul. Gubernatorska № 3.

CUKIERNIA
W. Chmielewskiego
W LUBLINIE.
Krak.-Przedm., wprost Kościoła Ś-go Ducha.

29 LISTOPADA.

JEDNODNIÓWKA.

TREŚĆ: 1) Sen nocy listopadowej... Jerzy Mączewski; 2) Łukasiński... Jadwiga Marcinowska; 3) Śmierć Sowińskiego... K. Swierczewski; 4) Wielki Książe, a Królestwo Polskie... W. G. 5) Ballada listopadowa... F. Arnsztejnowa; 6) Seweryn Goszczyński... Tomasz Orędzki; 7) Światłocienie... Bolesł. Zygm. Lubicz; 8) Z pamiętnika Legionistki... Kazik.

PORTRETY: Maurycego Mochnackiego, Waleryana Łukasińskiego, Wielkiego księcia Konstantego, Seweryna Goszczyńskiego, Józefa Piłsudskiego.

RYSUNKI WYKONAŁ KONSTANTY RAYSKI.

NAKŁADEM
WYDZIAŁU NARODOWEGO LUBELSKIEGO.
1915.
Druk. St. Dżał—Lublin.

Sen nocy listopadowej.

yć można. I nawet można żyć w pogodnych promieniach słońca, lub przy ciepłym blasku domowego ogniska. Bez względu na wszystko, co się dzieje na świecie, można pod błękitnym niebios namiotem ze zmrużonemi oczyma poić się złotą ulewą blasków słonecznych, słodkim pobrzękiem rojów pszczelich, szmerem strumyka, czy łagodnym szeptem lip; można, kiwnie unosząc pierś przy oddechu, miodne i kwietne wchłaniać aromaty, i dobrotliwie przyzwalać na snucie się dziwnej, niewiadomego początku, barwnej przędzy, w pewnych minutach z uświadamionych w słodkości wrażeń, zozłoconych wspomnień, ze strzępów pogodnej, prześwitującej chwilami, myśli, z nieuchwytnej pajęczyny marzeń. Bez względuna zamieć i zawieruchę można, zamknąwszy szczelnie drzwi i okna, w ciepłym pokoju przy jasnym blasku lampy zasiąść z rodziną wkoło stołu i gwarzyć w uśmiechach o świetnych dziwach z jakiejś legendowej przeszłości, o drobnych wydarzeniach dnia, o skromnych projektach na przyszłość.

Azaż nie rozkosz?

Można, I niema takich warunków politycznych, któreby takie życie uniemożliwiały, i niema takiego człowieka, któryby chwil podobnych mieć nie mógł.

Można... dopóki ołowiane chmury nie zasnują błękitnego nieba, dopóki zawieruchа nie wywali drzwi i okien chaty, nie rozrzuci ognia, nie zgasi lampy.

Można tak żyć i być człowiekiem poczciwym, i kochać polskie niebo i ziemię, i z rozczuleniem wspominać skrzydła husarskie i ułańskie chorągiewki, i nie znać, znać nie chcieć innego języka niż własny, i trwać,— i przetrwać wszystkie burze i zawieruchy, i zachować ścisły związek z pewną grupą etniczną, i z tego trwania i z tego związku mieć tytuł do zasługi.

„Azaż nie rozkosz?"

Na wielkim chlebnym zagonie, co się Polską zowie, obok zbóż złotych plenią się bujnie tacy ludzie z sercem złotem, syny Piastowe, kmiecie pogodne a proste, którzy zorawszy i zasiawszy zagon, czekają w ufności, aż bostwa opiekuńcze pozwolą wzrosnąć i dostać złotym kłosom. Gdy pozwolą, będzie radosne święto żniw; gdy zawistne, złe moce ześlą nadmiar deszczu, posuchę czy grady, przepadnie żniwo, trza pracę zacząć od końca i znów czekać w pogodnej ufności. Bo nie w naszej mocy jest zmienić bieg przyrodzenia, więc

„Przestać na tem, co Bóg dał, a zawżdy w mierności,
Używać swoich wczasów w rozkosznej wolności."

Przeważnie rolniczy aż do dnia dzisiejszego charakter narodu polskiego, mający do niedawna przynajmniej, niemal dotychczas, system gospodarki oparty raczej na podporządkowaniu się siłom przyrody, niż na uskutecznia zwalczeniu ich i ujarzmienia — musiał

wpływać i na wytworzenie się pewnej pogodnej, kwietystycznej filozofii, musiał w życiu narodowem idei trwania i przetrwania podporządkować wszelkie inne.

Innemi drogami chadza duch tworczy i zdobywczy i inne zna rozkosze.

Z szumem skrzydeł husarskich pędzić i rozbijać piersią żelazem okutą żelazne wrogów zastępy, na gruzach zdobytych zamków zatykać złocistą chorągiew zwycięstwa, krzepkich ramion wysiłkiem kruszyć stalowe kadan łańcuchy, z radosnym śmiechem urągać grotom i kulom, wzgardzić śmiercią i ukochać życie i moc tworzenia tego życia, skruszyć wszystko, co olbrzymią ręką wzniesione, zbłocić wszelki opór, być wolnym i wznosić świątynie wolności i sławy —azaż nie rozkosz? Pragnąć, aby wszystko zależało tylko od mojej woli, módz wziąć odpowiedzialność za wszystko; nie znać tego, co nie do zwalczenia, czuć i wiedzieć, że

„Kto dożyje, wolnym będzie
Kto umiera, wolny już.

i kochać całą siłą to wolne życie, jedynie prawdziwe i godne, dumne życie — azaż nie rozkosz?

„Cudowny sen", bo w życiu kmiecia to we śnie jeno jawić się może, choć właśnie to jego życie jest snem tylko, w którym przesuwają się wypadki, nie przez niego stworzone, czy nawet wywołane.

„Cudowny sen", sen tylekroć śniony u nas w Polsce, choć nie przez Polskę, a nigdy może tak żywy, jak ongi, w tę noc listopadową.

W hardym zamyśle garść młodzi, podchorążowie i studenci śmią chcieć, zuchwale sięgają po odpowiedzialność za to, co ma się stać z ich woli.

W noc listopadową, gdy zmarłe liście szeleszczą przestrożnie pod stopami, gdy wiatr złowróżbnie łomoce nagiemi gałęziami, gromadzą się przy błyszczącym w mroku, białym pomniku króla— zwycięzcy, by rzucić wyzwanie, oni garść—potędze mocarza północy, by zawołać:

„Wzleć, nasz orle, w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ!"

W pogardzie śmierci, w radosnem umiłowaniu walki, w dumnem pragnieniu wzniesienia w Polsce świątyni wolności, rzucają się w krwawy odnęt boju...

...Kto umiera, wolny już!"

Noc szybko mija: sen niedośniony dokończa... czy też przeciwnie skończyła się jawa czynu i twórczy zapadli w sen oczekiwania.

MAURYCY MOCHNACKI.

Ten, kto dożył, nie został wolnym, nie sięgnął już zuchwałą ręką po władzę i odpowiedzialność poddał się woli cudzej, woli tych, którzy chcieli tylko, aby naród trwał, którzy czekali, aż dobre bóstwa dadzą obfity plon, lub złe moce zniszczą posiew młodej krwi.

Cóż snem jest, a co jawą? Czy śnić to jest widzieć, jak skądś, niewiadomo skąd, gromadzą się, łączą kształty i barwy, rozgwary, poszepty i układają się w obrazy, symfonie, czy śnić to tworzyć te kształty, nadawać barwy, budzić dźwięki i wiązać je w akordy? Czy snem jest trwanie, czy snem tworzenie i walka! Czy snem była noc 29-go listopada, czy snem jest cicha wioskowa sielanka,

Wojna, straszliwa mistrzyni filozofii, rozstrzyga nieodwołalnie ten dylemat, rzucając pod swój rydwan, wtłaczając w jego koła jednostkowe istnienia, uczy, że nie można pozostać jeno widzem kataklizmów dziejowych; niszcząc złote zboż zasiewy, waląc w gruzy pracą pokoleń wzniesione świątynie, na śmierć i tułactwo skazując tysiące ludzi, z nieodpartą logiką narzuca przeświadczenie, że z dzieł rąk ludzkich największą jeszcze rękojmię trwałości posiadą rów strzelecki, a ze wszelkich możliwych skupień ludzkich—armia.

Ale władza snu jest wielką, i wszystko może być jego przedziwem: i ta noc tak dziwna, kiedy od białego marmuru Jana III piorun uderzył w wystraszonego władcę z Belwederu, i zapał tych rzemieślników, zawsze gotowych chwycić za broń, i gniewy Chłopickiego, i wahania rządu, i płomienna wymowa Mochnackiego, i szarża Krakusów pod Stoczkiem, i detronizacja króla polskiego Mikołaja I-go, i krwawa Olszynka Grochowska i wszystkie harde porywy, wszystkie boje bohaterskie, cały zapał walk o niepodległość, tryumf zwycięstw i aureola śmierci.

I słodką jest snu władza, bo oto pozwala nam utożsamiać się, nam — kmieciom pogodnym a prostym z tymi dumnymi, co wszystkiem, umieli wzgardzić dla wolności, pozwala nam przeżywać chwile radosnych wzruszeń i bohaterskich uniesień. Czcimy więc tych dumnych z orlemi skrzydłami i w skórach lamparcich, tych radosnych z proporczykami przy lancach, z kitami na barwnych czakach i tych najtragiczniejszych, a jednak pięknych, co szli do lasu; czcimy ich, bo im zawdzięczamy te sny cudowne, które nam pozwalają mniemać, że myśmy krew z krwi ich i kość z ich kości.

Lecz straszną jest snu władza, bo prawda jest tylko w działaniu, miękiemi mackami swemi sen obejmuje zwolna, zwolna, zda się pieszczotliwie, zaciska je bez bólu i pozbawia prężności mięśnie, pozbawia twórczej myśli mózgu.

Miecz zawieszony na ścianie rdzewieje. Ręka odwykła od jego wznoszenia mdleje, choćby była ręką potomka krzyżowych tyczeray. I gdy nadejdzie straszna chwila zniszczenia, gdy złe, wraże moce zaczną urągać pogodnej ufności kmiecia, straszną jest jawa: bezwład i ślepa trwoga rozprasza i powala rzesze.

Och! zbudzić się! ukochać dume piękno walki, pojąć w jednej chwili jasnowidzenia, że najwyższem szczęściem jest wolność, że wolnym jest nietylko ten, co umiera, ani ten, co dożyje, ale przedewszystkiem i już odrazu ten, co o swą wolność śmie stanąć odważnie do walki.

Jerzy Mączewski.

ŁUKASIŃSKI.

ŁUKASIŃSKI.

Najcichszy z wielkich! polska myśl dziś klęka
przed tobą w skrzydeł srebrze i purpurze;
w obliczu Polski zapomniana męka
twoja powstała i jest jak przedmurze
dla serc rozpaczą żarłych; Dziejów Ręka
twe imię pisze; a jak Mocy stróże
te zgłoski ciche jawią się i płoną
krwią i miłością, złoto i czerwono.

Czem zmierzyć otchłań lat więziennych? Miarą
serca, któremu każdy dzień był krzykiem
duszonym w trumnie? Całunową, szarą
topielą godzin niezliczonych? Dzikiem
prężeniem duszy w męce, by ofiarą
cierpienia kraty strzaskać?.. Buntownikiem
w godności ludzkiej była każda krwi
kropla, a świadkiem — ryglowane drzwi.

Wszedł do ciemnicy w pełni męskiej doli,
z ciałem w katuszach ukrzepionem hardo
i z blizną w sercu, bowiem głucho boli
mieć z zapomnienia swoich krzywdę twardą,
lecz głowę dumnie nurzał w aureoli
wolnej Warszawy... I tak świętą wzgardą
z własnego losu rozpromienił cienie,
że hymnem złotym grało dlań więzienie...

Listopadowa cudna noc, raz wzięta
w duszę, mieniła czarność w barwy wieszcze;
wciąż biły dzwony ogromnego święta,
a on przykowan do armaty, jeszcze
w pochodzie słyszał i znać zapamięta
na czterdzieści lat konania... Dreszcze
wolności lechem wstrzęsły, zdał się iście
sypać kasztanów polskich złote liście...

Lecz jęły płynąć lata... Myśl się z siebie
żywiła, skrzydły tłukąc w głuchej ciszy.
Codzień na własnym tliło się pogrzebie
dławione życie... Gdy ból pyta, słyszy
odpowiedź bólu... Szponem aż w podgłębie
serca sięgając, czyni, że krzyk dyszy
nieugaszony: wieści z Polski! jedno
słowo, a wszystkie rysy męki zbledną...

Listopadowej nocy cudne śnienie
wsiąkło w męczarnię... Teraz syci trwogę;
co dziś? I twórczość krew do mózgu żenie
by stwierdzić strasznie: Polsko! nic nie mogę...
W samotnym lochu dzikie pogwalcenie
prawa, na którem stoi świat... Pożogę
trawionej mocy słychać... Ziemi synu,
prawem czyń! człowiek stworzon był do czynu!

Każda krwi kropla stała się protestem,
i w każdem ścięgnie drga ognista wić,
i każdy oddech wstaje w krzyku: jestem!
aby odpowiedź brać: nie możesz być!..
Przerosła męka twa piekielnym gestem
miarę jednostki, wkoło skroni drży-ć
wieniec symbolu, imię twoje znaczy:
zgwałcone życie... Pieklo znak tłomaczy...

Skroś ściany lochu grozę rzeczy brały
fale jeziora posępnego; niosły
na brzeg i szedł tak poszept straszny, cały
krąg przyrodzenia nasycając... Posły
od głuchej kaźni światu rzecz szeptały,
która przyrodzie obca i daleka,
a jeno człowiek zrządził dla człowieka...

Myśl się karmiła z siebie... Krwawe jadło!..
Głód, szarpiąc rany, sam się raną stawał.
Gdyby w śmiertelną ciszę kiedy padło
choć jedno słowo żywe..! Głód—Kruk kawał
serca brał, barwę z wycieńczenia zbladłą,
malując w szkarłat... Spiekłych pragnień nawał
ustami męki pił purpurę łaną...
Myśl, serce, dusza człowiek stał się raną...

Potem tęsknota przyszła... Jeden raz
wargami przywrzeć do najświętszej ziemi,
usłyszeć, jak gra polskich sosen las,
jak brzoza pacierz mówi żałosnemi
szmery gałązek i jak z żytnich kras
wiatr bierze oddech wieszczy i cud plemi..
Ujrzeć, usłyszeć i składając brzemię,
wyzionąć duszę w Nią, w tę Matkę Ziemię...

Potem... tęsknota już nie miała po co
przychodzić zgliszcza trącać, ni się komu
przypomnieć; światła żadne nie migocą
w obdartych węgłach spalonego domu;
dusza przestała się już czuć sierocą,
wiedziała, że jest pogrzebiona. Złomu
więziennych murów nie odwali z siebie;
głuchem świadectwem jest o swym pogrzebie...

Wtedy raz w wiecznem milczeniu głębokiem,
w podwórcu ponad głuchych ścian krawędzie
wzbił się głos, słowo z Kraju, głos orędzie...
Buchło pytanie jakby krwi potokiem:
„Polska?" Odpowiedź: „Rychło dobrze będzie!"
A rzecz to była... przed Styczniowym Rokiem...
Wrócił do celi, mając świat w tym krzyku
i — nie usłyszał nigdy o wyniku...

Jednakże wiedział. Gdy Kraj wił się w męce,
przez ściany lochu przesiąkały mary;
szkarłatne widma, biorąc się za ręce,
rzucały smugę w mrok więzienia szary,
albo kobiece twarze i dziewczęce
jak białe krople z wytrząśniętej czary
leciały w ciemność. Trupi krąg się niże,
mówią: my bryzgi srebrne—na Jej kirze...

Mówią doń głosem cichym: „Wiesz, giniemy..."
Wstaje korowód inny: „Giniem!" szepce,

znów inny w męce znak uczynił niemy:
„Zginęło wszystko!.." Dziecko śni w kolebce,
nad którą napis: zginąć musisz..! „Ślemy,
szemrzą, świadectwo, nim się ślad nasz zdepce"
Patrzał, jak gdy się kto już całkiem zzuje
nawet z możności cierpień... Rzekł: „Miłuję..."

Cóż dać mógł? Oddał wszystko... Więcej niż
oddawa człowiek, więcej niż posiada...
Był jak wypity kielich i jak krzyż.
na którym postać już skonała blada.
Lecz onym wieściom, które w dół i wzwyż
szumiały: niema Polski! jak kaskada
padając na głaz, co już mąk nie czuje;
mówił z pod głazu jękiem tym: miłuję!

Niema... Miłuję! W twarz rozpaczy jedno
słowo, zagładzie w twarz to jedno wciąż;
choć świadomości chwile coraz rzedną;
naokół mózgu owił się jak wąż
ucisk wykarmion w ciągłej nocy, biedną
człowieczą głowę zgniata... Krąż się! krąż,
obłędna myśli! Ale nie jest w stanie
cmentarnym wirem ścmić Umiłowanie.

Dwadzieścia takich lat... Ciemności rosły,
aż przesłoniły mu trumnianem wiekiem
pamięć, że kędyś jest świat, słońce, wzniosły
czyn i że ongi on sam był człowiekiem...
Po czarnej toni śmiertelnemi wiosły
sunąc, z pluśnięciem brzegu niedalekiem
ostatnie chwile biegły... Jak je przyjmie?..
Zastygł... pamiętał tylko Polski imię.

A więc zdobywczym padły mu naporem
moce godziny nocnej na pierś pustą
i położyły się na sercu chorem,
krzycząc: Nie wątpisz jeszcze? zwątp! I tu sto
szponów targnęło: Czemżeś? trupa wzorem!
pniem wydrążonym! próżnią pod tą chustą
ciała! Czem wstrzymasz? nurty-śmy wezbrane...!

Rzekł: „Kładę w poprzek moją duszę—ranę."

W mroku więziennym biały punkt ta głowa
mleczna... „Już rychło się twój duch odwiąże;
wymów ostatnie ku tej ziemi słowa"...
Naonczas trup ten, a Niezłomny Książe,
w którego wnętrzu już się ślad nie chowa
miejsca, gdzie mogła rość nadzieja, stąd że
wygorzał nawet ślad w tej mąk ofierze,
ze zgliszczów serca odpowiedział: „Wierzę".

Że — będzie, wierzę i że Bóg jest, wierzę.
Wierzę we słońce Ducha niezgaszone;
w prawo do życia, iż go nie odbierze
żaden znak śmierci; w polskich zbóż koronę,
we wzrost, gdy ziarno wejdzie w pełnej mierze,
w zwycięstwo czynów, gdy są — poświęcone,
w Nią... I ostatnią myślą w krwi kąpaną
do stóp przylegam, które w słońcu wstaną...

Przez tajemniczych dźwierzy rozchylenie
srebrzy się dziwny rąbek... O, jak ciało
rozsuwa cicho związki! Tak odzienie
opada z ramion, gdy się zbytniem stało.
W cichą świetlistość się przelały cienie;
dusza na progu stoi z twarzą białą,
jeszcze tym światom obca, jeszcze z plonem
smętu, z tem żniwem zwolna rozświetlonem.

Jest ponad Polską wielkich duchów krąg;
odejść nie mogą w przynależne wyże;
jak dziwny wieniec żórawianych wstąg
splot kołujący się nad Krajem niże;
miłosne pasmo niewidzialnych rąk,
wysokie światła... Krzywd posępne krzyże
ściągają duchów krwawych straż nad klęską,
aż się krzyż zbłyśnie wreszcie w moc zwycięską.

Szedł brać swe miejsce, a gdy spojrzał za się,
ujrzał potomstwo swej niezłomnej duszy,
słowa zrodzone w mąk najgłębszych czasie,
jak chwałę orlich wzięły pióropuszy
i szumem wichru w tej królewskiej krasie
z błyskami, które twórczy ogień prószy,
leciały w Polski stronę, świateł pas
niecić, skrzydłami dzwoniąc wpośród nas.

Żadna z twych myśli, cichy bohaterze,
nie zwiędła w lochu, żadna z nich nie zginie.
O! Wielki Cichy! każda z nich kształt bierze,
i pieśnią mocy tryska w walk godzinie;
stworzyłeś Czyny, ty — najwyższy w wierze.
Oto królewskich orłów stado płynie,
zwycięskie ptaki sercom na przedmurze
w krwi i w ufności, w srebrze i w purpurze.

Jadwiga Marcinowska.

Kalkuta w sierpniu 1912 r.

Śmierć jenerała Sowińskiego.

Powstanie listopadowe ileż smutnych, ciężkich, ale jednocześnie podniosłych i jasnych wspomnień budzi. Z jednej strony brak wytyczonej linji u twórców wybuchu, którzy nieopatrznie pozwolili, że kierownictwo ruch m zbrojnym objęli ci, co przeciwnikami jego byli; z drugiej genjalne wprost pomysły i plany Prądzyńskiego, co wszystko przewidywał i wszystkiemu zdolen był zapobiec, jeno nie znajdował posłuchu. Brak wiary i zapału u dowódzców, a bezgraniczne bohaterstwo żołnierza, co w głuchym, zaciętym milczeniu marł w błotach Olszynki Grochowskiej, wydzierając zwycięstwo przeważającym szeregom moskiewskim, co się przedzierał po przez kolumny nieprzyjacielskie z borów dalekich Litwy, pod dowództwem Dembińskiego, ścigany, a prowadzący do Warszawy jeńców rosyjskich. Niedołęstwo, bezład i nieporadność a obok tego bezgraniczne poświęcenie się i bohaterstwo wspaniałe jak Bema prażącego kartaczami napierające masy rosyjskie pod Ostrołęką, jest Żymirskiego, co padł w obronie Olszynki, jak wreszcie Dwernickiego, co zbił pod Stoczkiem.

Przesuwają się te wszystkie obrazy tak znane przed oczyma Polaka, jedne wzbudzając w nim żal i niemal wstyd, drugie – pojąc duszę otuchą, krzepiąc wiarę, że wobec tylu ofiar, wobec takiej siły duchowej—jeszcze nie zginęła" i zginąć nie może. Z szeregu tych jaśniejszych wspomnień, z obrazów, napawających dumą serce każdego Polaka, wybieramy jeden, ażeby podkreślić najcharakterystyczniejsze momenty, uprzytomnić to, co czcić i brać za wzór nam trzeba. Obrona Warszawy, owa krytyczna chwila zmagania się sił narodowych, kiedy bardziej niż kiedykolwiek zawisło na ostrzach bagnetów pytanie być albo nie być, komuż nieznana jest, kto sercem czującym nie żalał nad nią, kto nie burzył się na niedołęstwo, pozwalające konać osamotnionym szeregom bohaterskich obrońców Woli, podczas gdy w pobliżu 18000 ludzi pod wodzą jenerała Umińskiego stało bezczynnie, złudzonych demonstracyjnemi ruchami słabych oddziałów rosyjskich.

Oblężenia Warszawy bał się Pac kiewicz nie był pewien wyniku mającej się toczyć walki, te obawy podzielano również w Petersburgu, gdzie przewidywano, że w razie odparcia ataków moskiewskich, nie pozostaje nic innego nad odwrót, a potym układy, bańcbuc z punktu widzenia dumy rosyjskiej. Była możliwość zwycięstwa po stronie polskiej i nastąpiłoby to niechybnie, gdyby nie jakieś fatum dziejowe, które w tym momencie tragicznym pozbawiło przytomności i sprężystości najdzielniejszych nawet dowódzców jak Bem.

Najważniejszym punktem obrony była Wola, gdzie dowodził jenerał Sowiński, mając pod rozkazami swemi 1200 ludzi z paru armatami. Na tę pozycyę przypuścił Pasiewicz wściekły atak, poparty ogniem 76 armat. Szły batalony za batalonami na osamotniony ostróg, po bohaterskiu odpierający wysiłki wroga, i depcząc po poległych stosach współbraci dochodziły do szańców Woli, a tam marły pod bagnetami polskiego żołnierza—22 bataliony Pahlena, nie mogąc wytrzymać, cofają się w bezładzie. Wtedy Pasiewicz rzuca na szańce Woli nowe pułki Martynowa, Kreutza i Berga i mrowie nieprzyjacielskie pijane i wściekłe zaczyna zalewać samotną redutą, a na pomoc jej nie śpieszy nikt. Major Dobrogojski, tchórz i pijany, na widok otaczającego zewsząd nieprzyjaciela ucieka, pociągając za sobą część obrońców, którzy dotąd po bohatersku głowy swe składali na straconym posterunku. Lecz Sowiński czuwa, kupi garstkę ściśniętą zewsząd, przygniataną nawałą Moskali — cofa się z nią krok za krokiem, drogo sprzedając swe życie, pokotem trupów nieprzyjacielskich ścieląc sobie drogę ku śmierci.

Rozwścieczone żołdactwo napiera na kościołek, gdzie przy narożniku południowo-zachodnim skupiła się ostatnia garstka obrońców Woli, obrońców Warszawy, honoru narodu całego! Napróżno wzywają do poddania się Sowińskiego, bohaterski jenerał kaleka, woła do swych żołnierzy: „Ognia do ostatniego ładunku, a po ładunkach żołbami i bagnetem wiara!!" Aż wreszcie pchnięty kilkakroć bagnetem, pada na strzaskaną armatę, w ostatniej chwili życia tak groźny jeszcze swym wrogom, że broń im z ręki wypada. Wola zdobyta, zaledwie 100 jeńców wróg stamtąd wyprowadza—reszta po bohatersku poległa.

Przemoc fizyczna odniosła pozornie zwycięstwo, liczba zatryumfowała nad mocą duchową i bohaterskim poświęceniem dla sprawy. Takby się zdawało, gdyż Wola zdobyta otwierała drogę do Warszawy, czyniła niemożliwy dalszy opór wojskowy—Tak, mury Warszawy zdobyte zostały, mury stolicy Polski, ale tam na zrujnowanych szańcach Woli zatryumfował duch niepożyty narodu, ponad stosem poległych bohaterów jak dumny sztandar wznosi się i powiewa — idea niesmiertelna, idea wiernej służby Ojczyźnie, co każe raczej umierać do ostatniego, niż podle uginać karku pod obrożę przemocy. W świecie materjalnym tym, który przywyklismy oceniać miarą dokonanych faktów rzeczywistych, ich skutkami i wynikami, przemoc fizyczna uciemiężycieli odniosła tryumf: powaliło obrońcę Woli, jenerała Sowińskiego, godnego potomka Żółkiewskich i Czarnieckich, po jego trupie sięgnęło po materjalną Warszawę, nie bacząc, nie rozumiejąc, że w tym momencie właśnie „za blekitami" poniosła srogą klęskę, której następstwa okażą się miały w ciągu długich i licznych pokoleń pozornie ujarzmionego narodu.

Na szańcach Woli załamał się ostatecznie widzialny opór, jaki naród polski w powstaniu listopadowym okazał. Było to wspaniałe zakończenie epopeu bohaterskiego — ale duch narodu „wieczny rewolucjonista" pozostał niezłamany, nieugięty, raczej powstał z tej klęski fizycznej jakby spotęgowany, jakby zaczerpnął mocy twórczej z krwi Sowińskiego, z krwi poległych wraz z nim żołnierzy na straconej placówce.

Ten duch nie uznający realnych faktów, nie umiejący i nie chcący się mądy zgodzić z dokonanym stanem rzeczy, co mu szwaśliwie po wsze czasy podszeptywała wszelka słabość i miernota, pragnienie zmiłowania ukojnej a wygodnej przystani życiowej, ten duch wiecznie się rwący naprzód i pragnący boju w imię uznanej raz idei—Ojczyzny wolnej—ten duch z nad mogiły Sowińskiego powstał i poszedł w przyszłość, aby ożywić swem tchnieniem nowe bohaterskie pokolenia narodu, co po tylekroć razy znowu imały się za oręż, by ulec w nierównej walce, lecz złożyć swym skonem świadectwo niezniszczalnej mocy idei niesmiertelnej, tryumfującej nad mocą fizyczną grubcieli, co zaślepieni ludzie poczęli się, że na zawsze już pod stosem ofiarnym najszlachetniejszych zdołali pogrzebać zniewidzonego ducha rewolucjonisty.

Śmierć Sowińskiego rozpatrywana na tle ogólnym walk i zmagań się wojskowych powstania 30-go roku jest epizodem bohaterskim nawet, lecz pozbawionym głębszego znaczenia, ujęta ze strony ideowej jest zjawiskiem niezwykłym, wyodrębniającym się przez te pierwiastki niezniszczalne moralne, jakie w niej tkwią t. j. przez dumną moc, przenoszącą śmierć ponad niewolę, przez ukochanie wielkie wolnej Ojczyzny.

K. Świerczewski.

Wielki Książę, a Królestwo Polskie.

„— Brat się wściekł carowi—więc go rzucił na Polskę,
Niech płaną zaraza zgubna wściekłym rozrywa..."

Słowacki—„Kordyan."

Resztki armji polskiej — wiernie służącej wielkiemu cesarzowi — po nagłym upadku gwiazdy „boga wojny"—osiadły w Paryżu.

Resztki armji polskiej, a więc jedyny naówczas objaw siły polskiej i dowód jej żywotności!

Resztki armji polskiej — a więc właściwie jedyny teren—sprawy polskiej!

Z temi to resztkami—pertraktował car—zwycięzca Aleksander I, dzierżący wówczas Polskę w ręku i sprawy jej rozwiązanie.

Był też w Paryżu—Wielki Książe Konstanty Pawłowicz brat cara „Dobrodziwego"; zeszedł się tam po raz pierwszy z armją polską —na pokojowej stopie—z armją, z którą o ile dotychczas wchodził w jakikolwiek kontakt, to jeno—w huku wystrzałów w zamieszaniu spowodowanym dymem armatnim.

W. KS. KONSTANTY.

Wielki Książe Konstanty Pawłowicz został tymczasowym wodzem wojska polskiego. W. Książe miał poruczone dbanie o zreorganizowanie tego wspaniałego żołnierza. W ostatecznej konkluzyi — wódz państwa wrogiego miał starać się o armię wrogą—armię z którą— jak wyżej wspomniano—dotychczas jeno walczył.—Zbyt nagły skok!

Na stopie pokojowej więc, oko w oko—ebliżka ujrzał armię—przeciwko której walczył.

I armii tej oddał należny szacunek.

A kiedy resztki tejże armii w 1814 roku stanęły na rodzimej ziemi — gdy komitet organizacyjny miał się zająć dopełnieniem i uzbrojeniem całkowitem polskich szeregów

I może fakt ów po części choćby wyjaśni z punktu widzenia ściśle psychologicznego późniejszy stosunek W. Księcia do armii mu powierzonej—Może pozwoli zrozumieć jego dziwne zachowanie się w stosunku do niej — wbrew — nawet państwowemu interesowi swojej ojczyzny — wbrew intencyom jego rodzonego brata—cara Rosyi — i króla Polski.

Pewnego rodzaju podejrzliwość — i moment zasadniczo wrogi występował u Konstantego już na początku pobytu jego w Warszawie w r. 1814, specyalnie wobec wspomnianego Komitetu Organizacyjnego, złożonego w przeważnej części z byłych ministrów Ks. Warszawskiego—i generałów Napoleońskich.

A kraj był wówczas w rozterce. Dwa lata już trwała niepewność co do losów dalszych. Dwa lata niestrudzony Czartoryski, głosił odbudowanie choćby skrawka wolnej ziemi w jakimś bliżej nieokreślonym stosunku do imperyum rosyjskiego. — Nie wiedziano więc, czy będzie to autonomja, czy niepodległość, czy też wogóle powtórne zmazanie imienia Polski.

Przy rozpoczynającym swój żywot kongresie wiedeńskim—unosiły się mianowicie nad głowami przedstawicieli świętego przymierza myśli o zostawieniu—status quo—sprawy polskiej—ale—status quo—tego które było przed rozbrzmieniem rogu rewolucyjnej Francyi po całej Europie.

A wiec kraj i ludzie byli niepewni.

Co więcej Ks. Konstanty, rezydujący podczas dni owych w Warszawie, również był niepewnym. Nie znał on, a raczej znał bardzo mało plany brata. Wiedział jeno iż temu pierwszemu zwycięzcy Napoleona należy bezwzględnie wierzyć i rozkazów jego słuchać.

Tymczasem Komitet organizacyjny powołany do tworzenia nowego wojska polskiego, był w niemałym kłopocie, nie wiedząc poprostu dla kogo i jakiej sprawy, ma pójść jego wysiłek.

Pewnego rodzaju wahanie się, opozycya choć nie wielka cechowała prace Komitetu. Co więcej, niektórzy jej członkowie widząc gwałtowne nastawanie przyspieszenia roboty a nie wiedząc jej celu — usuwali się.

Oto i nowe przyczynki do początkowych swarów między Księciem, a Królestwem, w jego objawieniu się zewnętrznem—w armii polskiej.

Wreszcie nadeszło wybawienie z owego niezlecydowanego położenia.

Jesienią 1815 roku—a więc w rok mniejwięcej po objęciu tymczasowych rządów nad armią przez W. Księcia, zjechał do Warszawy Aleksander I, nadając konstytucyę — wspaniałą — jak na owe czasy — a pod względem uprawnienia mas najlepszą w Europie.

W myśl tejże konstytucyi — została zachowaną armia polska z wszelkiemi cechami odrębności — przysięgająca jedynie wierność królowi polskiemu, który był carem rosyjskim.

Radosna opinja Krain, pełna jak najrozłożwszych perspektyw na przyszłość, wyznaczała na wodza ukochanego wojska polskiego — Tadeusza Kościuszkę — na namiestnika kraju, zasłużonego i cenionego Ks. Adama Czartoryskiego.

W obu wypadkach nastąpił zawód.

Tymczasowy wódz nowej armii Ks. Konstanty został mianowany stałym. Namiestnikiem generał Zajączek — służbista w każdym calu—ongis znany jako polski jakóbin — dziś z mocy wieku i urzędu reakcyjnie usposobiony.

Tu z góry powiedzieć należy, iż W. Książe, mając dowództwo nad organizującem się wojskiem, mając tem samem niemal siłę w ręku, był faktycznym panem Królestwa — tembardziej, iż Zajączek ulegał we wszystkiem jego woli—i chęci.

I oto jeżeli chodzi o określenie stosunku W. Księcia do Kongresówki należy właśnie uchwycić owe momenty samodzierżawia faktycznego, choć nie formalnego.

W. Książe Konstanty Pawłowicz kochał władzę i zdaje się, miał wewnętrzną satysfakcyę, gdy mógł w jakikolwiek sposób wykazać, iż władza jego jest wielką. Wszak Książe Konstanty pochodził z dworu, na którym wychowywano go nie tylko na przyszłego cesarza Rosyi.—Babka przeznaczyła go na cesarza Bizancyum, które w myśl rozległych planów Katarzyny — przy dalszej polityce następców carycy — ostatecznie mogło zaistnieć.

To jeden moment ważny — dla zbadania psychy Konstantego.

Ale jest i drugi — ważniejszy.

Konstanty pochodził z Rosyi, która wówczas posiadała najgorszy, najpodlejszy ustrój militarny, najpodlejszy dla samych rosyjskich żołnierzy.

Istniały w Rosyi „Kolonie wojskowe", wsie, z których albo wysiedlano przymusowo ludność, albo też czyniono z niej faktyczne żołnierzy podległych najwyższej władzy wojskowej w danej miejscowości, choć formalnie, pozostawiono chłopom w takich wsiach ich dotychczasową wolność.

Ucisk chłopów przez wojsko był nie do zniesienia, i sprowadził kilkakrotne bunty.

Ale i w samem wojsku, przepełnionem zwierzęcą dyscypliną—gdzie mowy nie było o jakiejkolwiek ideologji—działy się wypadki

— okrutne, przekraczające wszelkie prawa istniejące a powodowane samowolą choćby komendantów pułków.

Z takiego to kraju, takim wojskowym ustrojem przesiąkniety—przyszedł wodz armii polskiej — armii stosunkowo najbardziej ideowej.

Wszakżeż nie kto inny, jak żołnierze tejże armii, poszli za Napoleonem w myśl odezw Dąbrowskiego i Poniatowskiego; wszak oni moralnie — ideowo przecierpieli odwrót przez Berezynę.

I żyła ta armia w kraju „oddychającym wolnością" w kraju konstytucyjnym, pełnym zapału w sprawie uwolnienia chłopów i żydów: pierwszych z pod jarzma panów; — z pod jarzma niechęci i bezprawia drugich.

Jednem słowem z kraju niewolnego — z wojska batożonego przyszedł W. Książe do Polski—młodej wówczas jako państwo — uległej dotychczas jedynie ponowniu cywilizacyi zachodu, Francyi!

Mając powierzone sobie wojsko, W. Książe zajął się niem, na swój sposób, całem sercem. Samowola jego uwidoczniana w wypadkach niemilitarnej służby, odnosi się też przeważnie do osób i instytucyi mniej lub więcej pośrednio z wojskiem i jego sprawami złączonej.

Gwałtowna i niekiełzana natura jego wylewała się w wypadkach „cywilnego" charakteru, co również było wynikiem owej chęci zabłyśnięcia — owej chęci wdrożenia w ludzi — mocą choćby ujemnego czynu — konieczności zajmowania się nim—Wielkim Księciem Konstantym Pawłowiczem — następcą tronu rosyjskiego...

Możnaby pod tym względem porównać W. Księcia do Alcybiadesa uferzającego w biały dzień najpoważniejszego starca w Atenach—dla sławy.

To też owe wystąpienia Księcia—należy brać z punktu widzenia bardziej i przedewszystkiem psychologicznego, a mniej politycznego, lub też z punktu umiłowania wojskowości jako takiej, choć w tym wypadku chodziło o wrogą armię.

Na tem ostatniem tle powstał pierwszy większy zatarg między Księciem a społeczeństwem.

Ministrem wojny w Królestwie Polskim został Wielhorski, mąż dzielny, doświadczony general — bardzo czuły na honor wojskowy i w swoich pismach społeczno-politycznych urządzający kraj niemal na zasadzie wojskowej służby.

Ministerstwo wojny podlegało, w myśl konstytucyi świeżo ogłoszonej, bezpośrednio namiestnikowi królewskiemu; w tym wypadku Zajączkowi—na równi zresztą z innemi ministerstwami krajowemi.

Atoli, jak wyżej wspomniano, W. Książe był bardzo czuły na wszelkie instytucye związane pośrednio choćby z wojskiem. Ministerstwo wojny—mogące mieć jakieś pretensye do rządów nad armią krajową, było tylko możliwem o ile zupełnie odpowiadało wymaganiom samowolnym W. Księcia.

Wobec odpornego zachowania się Wielhorskiego—wobec śmiałego powoływania się na prawa konstytucyi, zatargi o rzeczy małe i drobne—stawały się wielkiemi.

Nie miał na dobitkę Wielhorski żadnego oparcia o własny rząd, gdyż jak wiadomo — namiestnik był powolnym zamysłom Księcia.

Nie miejsce tu opisywać przyczyny ciągłych niesnasek między W. Księciem a Wielhorskim, wymieniny tyle, iż stary i chory minister—nie mógł znieść swego stanowiska, między młotem a kowadłem, że w dalszej konsekwencyi postanowił ustąpić, tembardziej, iż po temu nadarzał się odpowiedni pretekst.

W myśl praw nadanych, furaże dla wojska pokrywać miała kasa wojenna Królestwa Polskiego. Natomiast W. Książe pragnąc koniecznie oszczędzić kasie wojskowej niemałego wydatku, żądał by wydatek ów pokryła kasa cywilna.

Wielhorski przypomniał raz jeszcze prawa nadane krajowi, i nie mogąc sprostać szamowoli W. Księcia—podał się do dymisyi do cara za pośrednictwem namiestnika.

Zdaje się, że W. Książe — gdy mu o tem doniesiono—zasadniczo był zadowolony z tego obrotu rzeczy, przez który pozbywał się niebezpiecznego, bo cenionego i szanowanego w społeczeństwie oraz na pozór się opierającego ministra. Pragnął jednak raz jeszcze Wielhorskiemu dokuczyć, i zespołowi ministrów oraz jemu samemu dać odczuć swą władzę.

Dymisja została odesłaną do rąk Wielhorskiego z dopiskiem, iż W. Książe wyraził swe niezadowolenie z powodu, że minister wojny złożył prośbę ową, na ręce namiestnika.

W myśl wszelkich porządków prawnych—rzeczą naturalną i zrozumiałą było, że nie kto inny jak właśnie namiestnik królewski był powolny do pośrednictwa między rosyjskiem rządem a cesarzem. Atoli samowola W. Księcia oparta o brak woli i służbowość starego generała — wzięła nad prawem górę.

Koniec końcem — Wielhorskiego dymisyę przyjęto — zastępstwo ministra wojny objął Hauke—również Księciu powolny — i pozostał nim aż do wyjuchu listopadowej rewolucyi.

Po półrocznem niespełna istnieniu — nie było już w Polsce odpowiedzialnego ministra wojny.

Był to poważny akt samowoli—większej wagi.

Rozpoczęły się następne — pozornie mniejsze w rzeczywistości niemniej ważne: prześladowanie żołnierzy i oficerów. — Parady na saskim placu!

Męki wieczne żołnierzy — teren ekspansyi „wojskowych" zdolności naczelnego wodza.

Tłumiona może przedtem jakaś wrodzona gwałtowność, konieczność związane ręce i brutalność—znalazły ujście...

Wszak W. Książe był panem wojska!

Wszak w imię dobrodziejstw Aleksandra można tu — juścić wodze, właśnie pod pozorem musztry doskonałej — dla dobra króla i Ojczyzny.

Bo też książe był wodzem wojska — o ile ono przebywało w koszarach lub pod namiotami w obozach letnich.

Lubił książe wojsko — ale eleganckie, ładnie ubrane z guzikami i paskami.

Nie znany i nie miły był księciu — żołnierz walczący, brudny — niedoszły, w podartym mundurze!

Żołnierska błyskotka — oto i wszystko!

I samobójstwa oficerów, i setki podań o dymisye — oto skutki niedokładnego dopatrzenia wszystkiego co do owej błyskotki należało.

Po za tem wszystkiem działały na Konstantego momenty wyżej opisane: niewiść szczególnie początkowa do nowej armii it.d.

Atoli stosunek księcia do tejże armii uległ gruntownej zmianie — odbywającej się wewnątrz niego samego i jedynie w sprawach niesłychanie drobnych ujawniającej się na zewnątrz.

Owo męczone przezeń wojsko — urabiające się z dniem każdym na takiego jakie sobie życzył — ow tak ważny fundament stanowiska, jakie Konstantemu po zrzeczeniu się tronu choćby tylko wobec Aleksandra—pozostawał, stało się przedmiotem miłości.

Miał Konstanty słabość do swojej armii, był z niej dumny; był i dumny z siebie samego.

Ta — „słabość" nieudolnie czasem, choć gwałtownie ukrywana, spowodowała może pewnego rodzaju niesmiałą opozycyą Księcia wobec brata.

Zmiana owa — o naturalnym podkładzie psychologicznym—nabierze wkrótce lekkiego zabarwienia politycznego — na tle ogólnego stosunku Księcia do królestwa.

II.

Aleksander I, tworząc konstytucyjne królestwo — stanął odrazu w zatargu z nacyonalizmem i reakcyą rodzimą.

Wolnościowe jego poglądy zasadniczo nie podobały się szlachcie i magnateryi petersburskо-moskiewskiej.

Istniały nawet ku temu związki tajne — mieszczące w sobie osobistości bardzo wysokich sfer dworskich, między innemi przez czas jakiś samego księcia Konstantego — zdaje się bardziej dla ogólnej mody niż z przekonań należącego do lóż masońskich — aby później z czystem sumieniem być *spiritus movens* szpiegowskich machinacyi przeciwko wolnomularstwu narodowemu. — Związki te miały między innemi na celu zupełne włączenie ziem polskich do Rosyi — i ustrnięcie inienia Polski zupełnie; —jednem słowem doprowadzenie do takiego stanu jak po trzecim rozbiorze.

Nie przesądzając przyczyn w tem miejscu, zaznaczymy tylko iż Aleksander — jakkolwiek nieco połowicznie i niedość energicznie—nastawał usilnie przy utrzymaniu praw polskich i co więcej zamierzał zdaje się faktycznie Litwę do Królestwa przyłączyć. To też pewna że jednym z najważniejszych momentów powodujących niespełnienie powyższego zamiaru — była opozycya w jego własnym domu, powołującą się w jednej z delegacyi na krew żołnierzy Suworowa, zdobywających Warszawę w r. 1794.

Taki stan rzeczy — dopełwadził do ciekawej sytuacyi; chcąc się oprzeć wspomnianej opozycyi — siła faktu postanowił Aleksander z Polski zrobić sobie w tej walce — niejako *base operations* — „chciał z Polaków zrobić swoich Węgrów".

Taki obrót rzeczy dyktował Aleksandrowi wspomnione obietnice o Litwie i zdecydował o kroku stanowczym: utworzeniu 5-ciu korpusów litewskich — poddanych komendzie W. księcia i pod względem munduru bardzo do wojska polskiego zbliżonych.

Jaka w tym wypadku była rola W. księcia?

Jeżeli chodzi o punkt widzenia konsekwencyi polityki Aleksandra — to zachowania się brutalne księcia, zrażającego naicierpliwszych— nie odpowiadało intencyom brata.

Nie można zapomnieć o tem, że Konstanty na polskiej ziemi z powodów wyżej wyłuszczonych — był właściwie członkiem antyczarskiej opozycyi — przynajmniej w pierwszym okresie rządów.

Rzecz inna iż z drugiej strony z chwilą odania pięciu korpusów pod władzę Konstantego — ten ostatni zapomniał o dotychczasowej ideologii — mając ciągle natomiast w pamięci konieczność asdykacyi— brak państwowego stanowiska.

Ów brak wypełnić miała właśnie owa armia, która, jak mu się w chwilach manii wielkości zdawało, jest i będzie nadal bezwzględnie mu wierną.

W tem oświetleniu można dokładnie zrozumieć fakt, iż w miarę ostygania Aleksandra „judasza wolności" do sprawy polskiej, plany cara nie szły równolegle z zamysłami W. księcia. — Po sejmie 1820 r. dał car bratu na ostatniej konnej przejażdżce *carte blanche* w stosunku do Polski—oświadczając iż bierze na siebie wszelką odpowiedzialność za konstytucyę.

I nastąpił dziwny moment; W. książe tego szerokiego pozwolenia nie wykorzystał wcale — a przynajmniej nie w ten sposób — jak sobie wyobrażał Aleksander.

Wszakżeż nawet w postępowaniu wobec Łukasińskiego, któremu za inspirowanie buntu w Zamoyskiej twierdzy śmierć mocą wyroku sądowego się należała — Konstanty postanowił wykonanie wyroku owego ustanąć. Co więcej — mając w ręku — na skutek zeznania Łukasińskiego — wszystkich członków Towarzystwa Patryotycznego pod Krzyżanowskim, nie wiązł ich i jedynie czasem dla spraw siedzących prosił do siebie (Prądzyński) namacalnie wykazując im że wie wszystko, ale konsekwencyi nie wyciąga.

Dlaczego Konstanty tak a nie inaczej postępował— pozostanie, zdaje się, wieczną kwestyą — której rozwiązanie jednak największą szans posiada w przypuszczeniu, iż Carewicz budował sobie i ugruntowywał fundament nowy — własny.

Takie rozstrzygnięcie sprawy zdaje się tem prawdopodobniejsze, gdy dodamy doń przyczynki z czasów od r. 1825–1830 t. j. pielęgnowanie Mikołaja I-go w konstytucyjnej Polsce.

Mikołaj I-szy odrazu stanął na stanowisku rodzinnej reakcyi przeciw Polsce i Konstantemu.

Zachodzi tu pytanie, czy nie zierowała Mikołajem, poza pobudkami politycznemi, wielka obawa przed Konstantym, który trona się zrzekł — ale mając siłę w ręku — armię polską — 8 tysięcy wojska rosyjskiego i 5 korpusów litewskich, przy odpowiedniem uglaskaniu Polaków—mógł po koronę sięgnąć.

Mikołaj też odrazu ugodził w najsłabszą stronę księcia, w wojsko. Nie mając bynajmniej zamiaru przyłączenia Litwy do Królestwa, począł z kolei znosić odrębność owych 5-ciu korpusów litewskich będących ongiś przedświtem połączenia obo prowincyi. Książę oponował — bezskutecznie.

I w takich chwilach, właśnie być może iż Konstanty zamyślał o zahartowaniu swego oporu i postawieniu go na szerokiej podstawie. Ale w tym celu należało się wobec narodu gruntownie zmienić.

A na to nie stać było księcia.

Tradycya i zrosła jakiś pęd brutalności i sadyzmu wobec wczoraj kochanych — pozostawił go w oczach narodu takim jakim był z początku.

Natura wschodu dzikiego nie mogła dla się znaleźć względów, choć było to w interesie może samego jej pana... Konstanty w nocy listopadowej stał z 8 tysiącami wojska pod Warszawą — i nie ginął powstania w zarodku. Gdy wszelkie układy Chłopickiego, wobec woli narodu ustąpić musiały miejsca rewolucyi — odjechał W. Książe opuszczając, znienawidzony przez wszystkich, ziemię — którą chciał dla się fundamentem wieczym zrobić.—Odjechał z Polski i z żalem opuścił armię, którą, powiedamy, kochał, by stanąć wobec niej jak kiedyś, nie jako jej wódz — lecz jako wróg—by nie oglądać już błyszczących rzemieni strojnego oficera lecz widzieć najwyżej na mundurze dobrze mu znanym— polską ofiarną krew...

N. G.

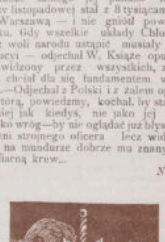

BALLADA LISTOPADOWA.

Listopad... wicher po ulicach świszcze
I z szumem garście zwiędłych liści miota...
W kominku trzaska, dogasając, zgliszcze,
A lampa blady kładzie okrąg złota
Na skroni matki i na syna twarzy.
Matka pacierze szepce, syn jej... marzy.

„Synu mój! Co cię westchnąłeś głęboko,
To się rumienisz, to bledniesz znów cały,
Iskry zcienniałe przebiegają oko"...
—„O matko!... śniłem sen szkarłatny chwały!
Listopadowe widzę dzieje krwawe,
Miarowe kroki słyszę, boju wrzawę".

„Synu, to wicher liście z drzewa zenie
Smętne jesieni zawodzący pieśnie.
Zmów pacierz, synu... wieczne odpoczenienie
Racz im dać, Panie!... co zmarło, nie wskrzesnie".
„O matko! słuchaj: grzmią o bruk podkowy,
I Warszawianki płynie dźwięk echowy".

„To deszcz o szyby kołacze na dworze...
Synu mój, synu, odpędź błędne mary...
Na Boga! Czemu sięgnąłeś nad łoże,
Kędy praojców wisi oręż stary?"
— „O matko, matko!... ktoś na koniu goni,
Słychać szczęk stali, wołają „do broni!"

„Synu mój, synu... oręż zardzewiały
Niech śpi na ścianie,.. daremne marzenie
O bojach, laurach bohaterskiej chwały...
Nie wstaną z grobu snadź rycerskie cienie,
Zali zdołają wskrzesić przeszłość karby?"
— „O matko! matko! one nie umarły!

Żyją!... o matko! nocami rycerze
Pod strzechy wchodzą.. kładą ciężkie dłonie
Na piersi chłopiąt, zbrają je w pancerze,
By serce męża miały w dziecka łonie
I mieczem młode błogosławią głowy.
O matko! Świtał dzień już wstaje nowy!

Matko, zmów pacierz... lecz nie za te mary,
Co się po grobach snują w Listopadzie,
Za żywe módl się, matko!.. by w ofiary
Godzinie wyśnił się nam sen o szpadzie:
Szandar orłowy przed wrogiem rozwinąć,
Za wolność Polski zwyciężać lub ginąć!"

F. Arnszajnowa.

Seweryn Goszczyński.

Jeżeli powstanie, walka zbrojna o wolność, o niepodległość, jest najwyższem utwierdzeniem się narodu w swem jestestwie, najszczytniejszym przejawem geniuszu narodu,—Belwederczycy byli tą najwspanialszą, najżywszą jego emanacyą.

Męstwo i zapał, niezłomny hart, ofiarne wcielenie się w niesmiertelną ideę Ojczyzny— to Belwederczycy!

Był niemi Seweryn Goszczyński, jeden z najbardziej oryginalnych naszych romantyków, siewca idei ludowej w poezyi i w życiu, poeta czynu: tworzył Polskę — orężem, czynem, słowem poetyckiem.

Pokolenie, do którego należał Goszczyński, jakby przeczuwając przyszłe swe zadania, rozwija w sobie nadewszystko hart duszy. Ta

też cecha góruje nad innemi zaletami bogatej indywidualności Goszczyńskiego.

A sprzęgły się przeciwko niemu chyba wszystkie wrogie potęgi życia: brak, nędza, piastujące go prawie do mogiły, rodzime głupstwo, niewola, której autor „Modlitwy wolnego" nie mógł w sobie uznać.

Już jako młodzieniec demonstracyjnie opuszcza klasę I-ą szkoły w Humaniu, protestując przeciwko despotycznym rządom prefekta Skibowskiego. Reszty wykształcenia dopełnia samoistną pracą nad sobą i dochodzi do doskonałych wyników.

Żywiołowo trafia odrazu na drogę właściwą naturom czynnym w warunkach niewoli, pracy agitacyjnej, nielegalnej. Pomiędzy 1826-28 wędruje z miejsca na miejsce, po całej Ukrainie, ścigany przez policyę rosyjską za wiersze patryotyczne, rewolucyjne. Niespożyta żywotność duszy polskiej święci w nim nowe tryumfy. Skarży się w liście do przyjaciela (w r. 1824), że przez pięć miesięcy musiał się ukrywać i mógł wychodzić tylko w ciemne noce...

Ściganego przez policyę moskiewską osacza rodzime głupstwo: przez wydrukowanie

GOSZCZYŃSKI.

„Modlitwy wolnego" i „Uczty zemsty" Goszczyński ściąga na siebie oburzenie duchowieństwa i sfer klerykalnych; oskarżono go o bezbożność. Krótką i wymowną była publiczna odpowiedź poety na te zarzuty: „Tylko dobroduszna głupota nie potrafi ująć istotnego ich ducha."

W r. 1830, po przybyciu do Warszawy, wszedł Goszczyński do Związku Wojskowego. Walczył w bitwach pod Stoczkiem i Nową Wsią, jako ochotnik przy korpusie jen. Dwernickiego.

W tym to czasie powstały pieśni potężne jak surmy bojowe: „Kosynier", „Marsz za Bug", „Orzeł Biały", „Pioun w Siedlcach" i wiele innych.

Na schyłku powstania podaje się Goszczyński pod Płockiem do dymisyi, protestując tem przeciwko małoduszności władz naczelnych dążących do poddania armii polskiej carowi. Wreszcie tragiczny moment: przejście granicy:

My z dłonmi gołemi pójdziemy w świat dalej,
I chleba u obcych będziemy żebrali
Gorzkiego, drogiego—i droższej ojczyzny.
Będziemy żebrali za sławę i blizny...

(„Wyjście z Polski"—Granica pruska r. 1831.)

Smutny i, zaiste, żałobny był ten pochód ciągnący na zachód. Goszczyński nie poddaje się rozpaczy, zasila go niezmożona wiara w świętość sprawy, w żywotność narodu; wiara w siebie, ale płynąca nie z ambicyi osobistej, lecz z poczucia sił pokolenia, które dźwignęło trudem, walką sztandar ideału narodowego. Upadek powstania, Warszawy jest dla Goszczyńskiego jednym momentem sprawy, której zwycięstwo będzie dziełem pokoleń:

Nieprędko, nie wszyscy my tutaj wrócimy...
Hej, ptaki, do Polski! — a my w świat daleki,
Ażeby ją zrobić szczęśliwą na wieki!

(„Wyjście z Polski".)

Lata 1831—38, przebyte przez Goszczyńskiego w Galicyi — to szczytowy punkt rozwoju duchowego, pełni rozkwitu sił, znajdujących swój wyraz w czynach społecznych i twórczości poetyckiej. W tym okresie Goszczyński urzeczywistnia w sobie ideał współczesnego Polaka, podejmującego pracę bezkordonową, wewnętrzną, podziemną, a szczytną w swych zamierzeniach, opartą na nowych zasadach zbawczej idei ludowej, organizującej cały naród w jedną całość. Zawsze bezimienny i ścigany, tym razem przez policyą austryacką, powołuje do życia i ożywia związki tajne w Galicyi, pracą, przykładem własnym zwalcza duchową gnuśność, reakcyę—następstwa upadku listopadowego powstania.

On pierwszy nawiązał duchową łączność Galicyi z źródłami i ideałami romantyzmu polskiego. Tropiony coraz bardziej przez policyę opuszcza Goszczyński Galicyę w r. 1838 i udaje się do Francyi.

Skromnie znany szerszemu ogółowi jako autor „Sobótki", „Zamku Kaniowskiego", Seweryn Goszczyński jest jednem z najwybitniejszych wcieleń żywotności polskiej. Całą duszą wżył się on w sprawy ojczyzny, wyrażał też wiernie prądy i dążenia swej epoki. Rzadkie zalety ducha skojarzały się w nim na stworzenie przebogatej, rdzennie polskiej osobistości: męstwo, rycerskie i wysokie poczucie godności, żywotność, starająca się zawsze zapanować nad sytuacyą, najniepomyślniejszym warunkom zewnętrznym przeciwstawiająca niezłomną, świadomą swych zadań wolę dla sprawy w tyloletniej pracy politycznej, podziemnej podówczas i do dziś tak owocnej i jedynie przyszłościowej, umiejąca się dostosować do surowych wymagań życia konspiracyjnego—aż do granic zupełnego samozaparcia, wreszcie wybitna i wyraźna ideowość, wynosząca go wysoko ponad głowy społeczeństwa.

Goszczyński jest prawie prototypem działacza—agitatora, nielegalnika. Bezdomny, ścigany jak złoczyńca przez policyę dwóch, niekiedy trzech, zaborów, nie mając na całym obszarze rozległej ojczyzny ani piędzi ziemi, gdzie schron mógłby znaleźć bezpieczny dla swej głowy, w niej unosi „nielegalnik" swą myśl niezmożoną, a w piersi najlepszych uczuć narodowych skarb, zarzewie przyszłego czynu zbiorowego—zaródź lepszej przyszłości swego narodu. Takim był Seweryn Goszczyński. Jego zresztą ludowość, nie ta sentymentalna, ale szczerze, głęboko uczuciowa i wybitnie ideowa—jest na tle epoki głębokim wyrazem zwrotu w rozwoju kultury polskiej. Jako poeta posiadał Goszczyński rzadkie śród autorów, a właściwe w najwyższym stopniu naszym romantykom, zrozumienie powagi pracy literackiej i twórczości, miał tak głębokie poczucie prawdy, że przeżycia jego własne są istotnemi przeżyciami; zawierają prawdę historyczną. Odpierając zarzuty po wydaniu „Zamku Kaniowskiego", że wybudował poezyi bożyszczu Świątynię, w której kapłanem żałoba, a płomień Śmierci na ofiarnem Zgliszczu,"—poeta woła: „Rozpalcież słońce—a w tej samej stronie, co barw, kształtów, co dźwięków, co tonów we mgnieniu oka ozwie się, zapłonie! O, póki ciemne słońce miljonów—póty, o bracia, niech mnie nikt nie wini, że tak ponuro w mych uczuć Świątyni!"

Miała też ta wielkość swój schyłek, ale tu nie miejsce i nie czas: w rocznicę listopadowego powstania rozpamiętywać i zgłębiać schyłek Belwederczyka. Bardziej pożyteczniem będzie powtórzenie z autorem „Uczty zemsty" i „Krzyża — szubienicy" — motywu z „Marsza za Bug":

„Niech postrzelony ten potwór dwugłowy,
„Po ziemi polskiej dłużej się nie słania!
„Wypuść ostatni pocisk piorunowy
„I skróć mu męki skonania!

Tomasz Orędzki.

ŚWIATŁOCIENIE.

(fragment z bojów I-ej Brygady Legionów Polskich).

Siadł na progu chaty i znieruchomiał. Nieokiełzany ból dławił mu gardło. Stulił ramiona i łkał. Oto przed chwilą ujrzał wnętrze polskiej chaty. Opustoszałe kąty, szczątki połamanych gratów, niechlujstwo zawszonej słomy, zalegającej wnętrze izby, całe stosy pogiętych, wypróżnionych blaszanek od konserw mięsnych, nadewszystko zaś te wygłodzone oczy dzieci, te raniące, jak uderzenie bicza półobłąkane oczy zgwałconej kobiety. Nie mógł patrzeć, więc wyszedł; lecz nie miał siły iść dalej, więc usiadł na progu i ukrył twarz w dłoniach.

Miał wizyę... tysiące, tysiące takich chat, ogrom strasznego nieszczęścia, który się zwalił na Polskę, ogrom ruin, popielisk i cierpień moralnych.

— Panie... Wojsku!... Może mleka pozwolicie?...—usłyszał cichy, ostrożny głos za sobą. Głos ten był bez wyrazu, bez barwy, rzekłbyś bez tembru, jak głos kogoś, kto skutkiem nieszczęść wielkich zatracił swoją indywidualność, był może dawniej „kimś", obecnie jednak zmiażdżony został bezpowrotnie brzemieniem nadmiernego, przerastającego siły ludzkie cierpienia...

W zmęczonym nad wszelki wyraz mózgu powstawały halucynacye. Dławił je w sobie, mocował się z nimi, jak mógł, lecz ulegał im wreszcie. I zdawało mu się wówczas, że widzi długi, przeraźliwie długi szereg matek, sióstr tych co polegli, co walczą jeszcze — żałobny orszak kobiet zgwałconych, sponiewieranych, w których zamarła zdolność życia!

— Panie! mleka!... — ten sam co i poprzednio głos istoty, złamanej do cna, do ostatka...

Pochyliła się nad nim niemal że macierzyńskim gestem i próbowała zaglądnąć mu w oczy. Może po raz pierwszy od czasu nieszczęścia odczuła obok swojej niedoli—niedolę cudzą. Wzruszyła się. Próbowała zapomnieć o niedoli własnej. Kusząco zbliżała do ust jego kubek z białym, aromatycznym, pożywnym płynem.

Dostał zawrotu głowy. Wszak tak głodny, tak głodny był niestety. Z tem większą pasyą rzucił się na kobietę.

— Dajcież mi święty spokój! O dzieciach lepiej myślcie!

Cofnęła się przerażona i w pochodzącej stąd niepewności ruchów rozlała część płynu. Stała chwilę bezradna, potem płakać zaczęła, naprzód bezgłośnie zupełnie, potem spazmatycznym, lecz cichym szlochem. Płacz ogarniał i dzieci.

Wówczas kląć począł. Klął ordynarnie, jak ostatni parobek, jak żołnierz, od sześciu miesięcy bez odpoczynku noszący tornister i karabin na plecach, jak człowiek patrzący codzień na ogrom krwi i cierpień i niedoli ludzkiej i niezdolny niczem tej niedoli ulżyć.

Powstał i poszedł. Szedł zrazu wolno, potem coraz szybciej. Zdawało mu się, że wślad za nim kroczy szlochanie baby „To ziemia Polska płacze..." — myślą tą smagał się; lubował w rozjudzaniu krwawiącej rany...

Gdy przyszedł na miejsce, wyznaczone na zbiórkę, okazało się, że kompania jego już wyruszyła. Ogarnęła go rozpacz.

— A więc jestem maruderem! Pozostałem w tyle, gdy oni, być może, się biją!

Rozpytał się, w którą stronę udał się batalion, ściągnął wyżej rzemienie tornistra, przewinął brudne szwaty, unieruchomiające na kostkach nogawice potarganych spodni i ruszył naprzód krokiem doświadczonego piechura. Po drodze zasięgał informacyi od zrzadka spotykanych włościan i nielicznych maruderów. Z tymi ostatnimi się nie łączył, gdyż tempo i kierunek ich były różne; jego żarła gorączka.

Powiedziano mu, że nieprzyjaciel jest w pobliżu, że batalion się rozdzielił, lecz nie umiano powiedzieć, w którym kierunku poszła jego kompania. Na chybił-trafił zagłębił się w las, by się zbliżyć do linii bojowej, sądząc, że tam uda mu się odszukać swoich. Przypuszczał, że znajdzie się na prawem skrzydle pozycyi. Gdy wszedł w głąb lasu, usłyszał pierwsze strzały. Dziwnie, niesamowicie rozkołysało się, rozgrzmiało wnętrze

leśne. Oto suche uderzenia wystrzałów karabinowych zlały się w monotonny deszcz dźwięków. Zdala donosiło się warczenie karabinów maszynowych. Krzysztofowi wydało się raptem, że mu plombują zęby. Nie bał się, lecz działało mu to na nerwy. Rzucił się naprzód wązką ścieżką, prowadzącą nad wąwozem. Jednocześnie nad swą głową usłyszał łomot gałęzi, poprzedzony charakterystycznym świstem szrapnela.

— B..... gorąco!...

Szedł już teraz wolno, nie mogąc wybrnąć z labiryntu ścieżek, które przeważnie prowadziły w dół, prawdopodobnie na tyły sił nieprzyjacielskich. Szedł naoślep, kierując się wrażeniami dźwiękowemi. Te jednak zwodziły go stale. Raz tu, raz tam słyszał wystrzały. Zdawało mu się, że słyszy gromki, brawurowy krzyk „hurra!" „na polskich miatieżników!", lecz gdy z nasadzonym naprędce bagnetem biegł w tamtą stronę, „hurra" rozlegało się za jego plecami. Stawał tedy zdezoryentowany i słuchał. Rozmowa karabinowa, poparta argumentacyą artyleryi polowej, trwała, lecz była chaotyczną i jakby niezdecydowaną. Raz po raz las zalegało milczenie krótkotrwałe, pełne niewymownej grozy oczekiwań. Doszedł wreszcie do linii okopów. Były puste. Ziemia tu była przeryta w paru miejscach granatami. Na ośnieżonej darni leśnej leżał, rzucony siłą wybuchu na wznak, trup strzelca. Rozkrzyżowane ręce kurczowo wżarły się w ziemię. Na łachmanach porwanego szynela zastygły gęste, obfite sople krwi. Obok leżał strzaskany karabin.

Widok ten przeraził Krzysztofa. Dość już widział trupów podczas kampanii wojennej. Chciał natomiast dowiedzieć się, jaka kompania odpierała te ataki Rosyan. Miał nadzieję, że pozna towarzysza broni. Gdy podszedł i spojrzał w twarz — — żachnął się.

— Marysia... Marysia?—szepnął zwolna, jakoby niedowierzając sam sobie. — Przecież to Marysia?!

Twarz miała ochlapaną błotem, skaleczoną odłamkami granatu, lecz z pod szarej, wojskowej czapki wybiegały jej obfite, obcięte teraz blond włosy, które rozpoznałby śród miliona innych. Na piersi z pod szynela i kurtki wygrzebał medalion z fotografją Rafała. Przeciął tasiemkę bagnetem i schował medalion do kieszeni.

— Oddam mu to — pomyślał.

Ze wzruszeniem niezmiernem patrzał na małą postać tej, która tyle trudów wojennych przeniosła. Po ogłoszeniu rozkazu brygadyera Piłsudskiego, usuwającego za jednym zamachem wszystkie kobiety z sanitetów batalionowych, przebrała się po męsku i poszła do linii. Najbliższe otoczenie wiedziało oczywiście o tem. Szarże ignorowały fakt, lub patrzały przez palce. Czy brygadyer wiedział—nie wiadomo. Dość, że została. Nie była zresztą odosobnioną.

Krzysztof przymknął oczy i widział Marysię, vel „obywatela Małego", idącego w czwórce, w pełnem obciążeniu żołnierskiem i śpiewającego z animuszem z pieśni o „Manlicherze":

„Pan Szrapnel wynalazł szrapnele—
Czyż jest w tem dla kogo obraza,
by każdy miał dziurę w swem ciele
a w dziurze tej kawał żelaza...
„Człek mądry się staje jak rabin
i bez czerwonego rabata,
gdy maszynowy karabin
zaśpiewa mu: „Tra-ta-tra-ta ta!"...

Przypomniał sobie, jaki kłopot miała Marysia z wyborem butów, gdy się jej trzewiki podarły. Wszystkie były dla niej skandalicznie za duże. W marszu zdawało się, że te „najmniejszego kalibru komiśne" („komiczne", jak przyjęto nazywać w szeregu) buty zlecą z jej małych nóżek. Chciał spojrzeć teraz na jej nogi i, oto po raz pierwszy uczuł dreszcz przerażenia. Z pod kurzawy nasypanej ziemi świeciła się bezkształtna, krwawa masa. Granat urwał jej obie nogi.

Zaczął wówczas ryć ziemię małą łopatką saperską, którą miał zawieszoną u pasa. Pracował z wysileniem wielkiem i pośpiechem najwyższym, gdyż coraz bliżej zaczęły go zalatywać odgłosy strzałów nieprzyjacielskich. Przytłumione odległością i rzadziej — odpowiadały manlichery.

Gdy już pół ciała zmarłej zarzucił ziemią, nagle usłyszał jęk ludzki. Odwrócił się. Podszedł do leżącego tuż za nim na brzegu skarpy i skamieniał. Na urwistem zboczu wąwozu leżały gęstą masą trupy nieprzyjaciół. Jasne było, że darli się wzwyż na okopy, lecz rażeni celnym ogniem z góry, padali, nie osiągając celu. Wąwóz wyglądał, jak jedno wielkie cmentarzysko. Oto ten padł tuż koło okopu z wyciągniętym naprzód bagnetem przeciwnika. Oto ten przykucnął do ziemi i zda się, wnet znów ruszy do ataku — lecz nie! —nie wstanie, gdyż z czoła mu wyciekły gęste sople mózgu. — Oto tamtych dwóch ogarnęło przeogromne niedołęstwo śmierci. Przygarnęli się piersiami do ziemi i wtulili w nią dziecinnym jakimś, zachłannym gestem.

„Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz", przypomniały mu się słowa, wpajane w dzieciństwie.

Oto przygarnęła ich ziemia,—kościelka największa ran wszelkich.

Idąc brzegiem skarpy, widział wciąż nowe i nowe trupy. Wtem po raz drugi usłyszał jęk ludzki. Za krzakiem siedział i słaniał się, zakrywając rękami pierś, przestrzeloną kulą karabinową, człowiek - mara, człowiek-widmo, z oczyma, w których odzwierciadlała się cała potęga instynktu kruszącego się życia i cała potęga nadchodzącej śmierci. W pewnym momencie zwarły się spojrzenia dwóch ludzi. Krzysztof jął wzrokiem chudą, obrosłą gestyną, nieczesanym zarostem twarz rosyjskiego chłopa; na twarzy tej paliły się widmo, jak dwie latarnie, które mają wnet zagasnąć, duże, błękitne, dobre, obecnie półobłąkane oczy.

Dobra, bolem wyszlachetniona twarz wroga, twarz człowieka. Ten człowiek jest zapewne głodny, zreasumował swe spostrzeżenia Krzysztof.

— Pić! pić! — odezwał się raptem chrapliwie ranny. Słowa sepleniły głucho, niedołężnie. Na ustach ukazała się krwawa pianа.

— Pić! — powtarzał z uporem człowieka umierającego.

Krzysztof potrząsnął manierką. Zabulgotało w niej. Podał. Chciwie ręce rannego pochwyciły i przywarły do ust naczynie. Pił aż do zaparcia oddechu, — pił aż do całkowitego wypróżnienia manierki. Poczem wypuścił tę ostatnią na ziemię i schylił się raptownie do rąk Krzysztofa:

— Barin .. ruczku .. Chrystos..

Nim ten zorjentował się, pocałował go w rękę, poczem padł na wznak. Za chwilę już nie żył.

I wówczas stała się rzecz najmniej dla niego spodziewana. Gdy rzucił okiem wkrąg, ujrzał się zewsząd otoczonym jęczą postacie ludzkie. Zewsząd podnosili się ranni, i wlepiając w niego pałające źrenice, przyczołgiwali się don. Zamarł w osłupieniu — w paroksyzmie strachu. Gdy o jakie sto metrów od niego podniosła się mara człowiecza i poczęła się czołgać, włócząc za sobą swe własne jelita, zaczął krzyczeć ze zgrozy i fizycznego bólu. Był przekonany, że to jego własne wnętrzności tarzają się w kurzu, poniewierają w glinie, szarpią o kamienie, krzewy i korzenie drzew.

— Pić! Pić! — rozlegało się zewsząd — Barin — Gołubczyk — —

Okrążyli go zewsząd, zwarli wieniec bolesnych, krwawiących, na pół obumarłych, na pół żywych ciał.

Krzysztof stał zasugestyonowany, niezdolny do uczynienia najłatwiejszego gestu. Gdyby wrogom jego przyszło do głowy go zadławić, mogliby to uczynić z naiwiększą łatwością. Nie mieli jednak agresywnych zamiarów. Przyszli żebrać jego miłosierdzia. Pół tuzina rozświeconych gorączkowo par oczu badało jego wyraz twarzy, wróżąc sobie zapewne jakąś ulgę, która za inicjatywą jego woli ma spłynąć dla ich cierpień. Pół tuzina ust powtarzało to jedno jedyne słowo, słowo sakramentalne wszystkich pobojowisk, naczelne hasło wszystkich rannych, słowo: pić!

Ze smutkiem spoglądał na pustą, leżącą u stóp jego, manierkę.

— I cóż dam wam ludzie — ludzie, wołał z rozpaczą.

Potem raptem wyrzekł z mocą:
— Puśćcie! Umarła mnie czeka!
Rozrąbał rannych i poszedł.

* * *

Gdy skończył wreszcie mogiłę i bagnetem wyrył na drzewie krzyż i inicyały zmarłej, usłyszał rozgwar gałęzi, potrącanych stopą ludzką. Padł na ziemię i sprawdził pozycyę kurka. Słyszał wyraźnie odgłos stąpań ludzkich. Jasne było, że nadciąga nieprzyjaciel; jednocześnie na prawo od Krzysztofa i z tyłu sypały się strzały karabinowe. Trzeba było co prędzej obrać pozycyę. Przyczołgał się na brzuchu do brzegu wąwozu i zasypł w zarośla. Spojrzał w dół. W głębi wąwozu ukazał się szereg czapek i szyneli rosyjskich. Szereg ten zatrzymał się i zdawał się namyślać; poczem — zwabiony prawdopodobnie strzałami z prawej—ruszył biegiem w tę stronę. Gdy odchodzili, jak pies, długo i przeciągle zawył raptem jeden z rannych. Oglądnęli się za siebie, lecz poszli dalej.

Zaledwo jeden, mały, kościsty o małpich ruchach odłączył się od nich, chwilę stał nasłuchując, potem poszedł w stronę przeciwną. Krzysztof wpatrzył się weń wzrokiem inkwizytora i całą wolą tłumił okrzyk podziwu.

— To on? to tak? powtarzał w dyalogu z samym sobą.

Widział go pierwszy raz w życiu, niemniej wydawał mu się znanym oddawna. Wpatrywał się w olbrzymi tornister, obciągający mu plecy, z błyskiem rozradowania dostrzegał jego rude włosy i szepnął:

— Tak! właśnie tak go wyobrażałem.

Zapewne obłowił się grabieżą, a teraz musi to wszystko dźwigać na sobie. Krzysztof się śmiał, czynił swe obserwacye.

— Poczekaj byczku!

Oczy rudego człowieka biegały ciekawie po pobojowisku. Krzysztof ze swego stanowiska mógł doskonale obserwować wszystkie jego ruchy. Lewą rękę wyciągnął przed siebie i złożył na niej lufę karabinu. Lewe oko przymrużył. Prawem brał na cel wroga. Czekał. Miał czas — —

— Ten mi nie ucieknie — myślał.

Ciekawy był, co będzie robił. Widok, który się przed nim rozwinął, w istocie stawał się zajmującym. Rudy kocim ruchem zbliżył się do trupa podoficera rosyjskiego i począł go obmacywać; po chwili trzymał w ręku zegarek i sakiewkę; tę ostatnią otworzył, przerachował pieniądze, potem łup schował do kieszeni.

Uczucie wstrętu dławiło Krzysztofa.

Obieracz trupów zbliżył się w tym czasie do grupy rannych. Obojętnie mijał tych, którzy wołali „pić", schylał się natomiast nad każdem ciałem nieruchomem. Łup jego się zwiększał. Zbliżał się coraz bardziej do Krzysztofa.

— Jeśli mię dojrzy, strzelę. Ręka legionisty coraz mocniej ściskała lufę karabinu.

Wtem obieracz trupów jakby się potknął, pochylił się aż do samej ziemi, lecz wyprężył się natychmiast. W ręku jego dostrzegł Krzysztof swą manierkę. Rudy okręcił ją, zbadał zawartość, powąchał i upewniwszy się, że jest próżna, z grymasem zawiesił ją sobie na szyi.

Teraz Krzysztofa od Rudego oddzielało już tylko kilka kroków. Pomiędzy nimi leżał trup rosyjskiego chłopa, któremu Krzysztof oddał cały swój zapas wody. Postanowił też nie dopuścić do zbezczeszczenia tego ciała. Zdawało mu się, że jeśli pozwoli w tym wypadku na grabież, stanie się rzecz, przenosząca swą potwornością wszystko, co widział dotąd, coś, co się niczem już powetować nie da.

Zatrzymało go jednak dziwne zachowanie się żołdata. Rudy zachwiał się, pochylił naprzód, wydał ze siebie nieludzki, zwierzęcy krzyk, potem całym ciężarem runął na ciało zmarłego.

— Brat! Brat! — krzyczał.

Dwa szaro-żółte rosyjskie szynele splotły się w braterskim uścisku.

— Miszał Brat... — donosiło się przy akompaniamencie głośnego płaczu. Trwało to dobre parę minut. Krzysztof począł się obawiać, że krzyki te sprowadzą innych Rosyan.

Wreszcie Rudy się podniósł. Był blady. Na twarzy jego perliły się łzy. Był inny. Zrezygnowanym ruchem pochylił karabin bagnetem w dół i zaczął kopać. Pomagał sobie rękami. Pracował umiejętnie, z werwą i z wprawą zawodowego grabarza. Wyżłobienie zmieniło się niebawem w dół, dół w foremny grób. Gdy bagnet przestał już kąsać ziemię, odrzucił karabin precz od siebie, nachylił się nad trupem, trzykrotnie pocałował go z wyrazem największego rozczulenia w usta, wziął go w ramiona, z wysiłkiem uniósł do góry i chciał złożyć w dół, lecz w ostatniej chwili widocznie się namyślił. Na rozczulonej, lecz głupiej twarzy jego dostrzegł Krzysztof błyski, znamionujące przebudzenie się inteligencyi. Rudy położył ciało zmarłego na poprzednie miejsce, poczem schylił się i zaczął rewidować kieszenie brata. Gdy skończył, w rękach zawalanych krwią trzymał notes, zegarek, scyzoryk, sakiewkę, skorzany woreczek na „machorkę", oraz inne jakieś przedmioty, których Krzysztof nie mógł rozpoznać. By lepiej widzieć, wstał i zbliżył się nawet o parę kroków do grabieżcy.

— Teraz to przynajmniej pozostanie w rodzinie — probował się pocieszyć, lecz nie mógł. W piersi jego wrzała głucha nienawiść do Rudego.

Ten natomiast złożył trupa do mogiły, zasypał ziemią i gromadził leżące pod ręką kamienie, z których ułożył mały kopczyk.

— Po co tacy, tak ten, grzebią umarłych?

Na pytanie to Krzysztof nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Gdy Moskal skończył pracę i strzepnął ziemię z rąk, odwrócił się i zobaczył stojącego tuż koło niego legionistę z karabinem w ręku.

Skamieniał, lecz Krzysztof również pozostał nieruchomy. Naówczas tygrysim skokiem, z rękami wyciągniętemi przed siebie, skoczył na przeciwnika; lecz Krzysztof odskoczył wstył i nastawił bagnet. Rudy zbladł wówczas. Rzekłbyś cała krew uciekła mu z twarzy. Zachwiał się i runął na kolana.

— Pomiłuj! — skomlał.

Krzysztof odwrócił karabin w ręku i ująwszy za bagnet, podniósł kolbę do góry.

— Czy będziesz grzebał zmarłych? Czy będziesz grzebał ?—pytał ze wściekłością po rosyjsku.

Rudy nie rozumiał, o co chodzi. Na wszelki wypadek wołał się zgodzić z przeciwnikiem.

— Nic budu... Jej Bohu... Pomiłuj... Żena... dieti...

Wówczas kolba z całym rozmachem spadła na głowę skomlącego żołnierza. Schwycił się za głowę rękoma i bez jęku upadł twarzą na mogiłę brata. Nie był martwy, postanowił jednak odawać zabitego. Przez palce rąk, na które spływała gorąca fala krwi, zezując, obserwował ruchy przeciwnika.

Nie spostrzegł się na tem Krzysztof. Odwrócił się i nie zważając na własne bezpieczeństwo, wielkimi krokami szedł w kierunku lasu.

— Dwie mogiły —mówił głośno sam do siebie — dwie różne mogiły. I tak blisko od siebie... Marysia... Wybacz... I ja cię grzebałem tak samo—kubek w kubek taksamo, jak ten...

Wyrzucił ze siebie epitet mocny, cyniczny, brutalny, jak brutalnym jest żywot każdego żołnierza.

* * *

Gdy wyszedł z lasu, kierowany raczej instynktem, niż świadomością i wolą, znalazł się znów na drodze do Lichwina, skąd wyszedł rano o świcie. Głód szarpał mu wnętrzności. Nieświadomie szedł w kierunku wsi. Gdy znalazł się przed chatą, do której wstępował przed bitwą, instynktownie się zatrzymał. Ku największemu zdumieniu swemu ujrzał na jej progu postać siedzącego strzelca.

Tak, jak on kiedyś, teraz ten ukrywał twarz w dłoniach. Ciałem jego wstrząsał dreszcz wewnętrznego szlochu. Krzysztof począł uciekać. Nie chciał raz jeszcze ujrzeć połobłakanych oczu zgwałconej kobiety.

Gdy wychodził ze wsi, w mgle wieczoru, z za rzeczki ukazało się czoło maszerującej kolumny. Na przedzie jechał sztab brygady. Krzysztof ujrzał o parę kroków od siebie znaną mu tak dobrze jeszcze z lat dawnych, zastygłą w nadludzkim niemal, niezrównanym wysiłku wolі twarz Piłsudskiego.

Otrząsnął się z moralnej depresyi. Zasalutował zwykłym gestem żołnierza, pociągnięciem ręki po pasku od karabinu. Koło niego przeciągały teraz czwórki w dziarskim, niezrównanym rytmie pochodu, odbijając tempo tego pochodu na zmarzłej ziemi. Lekkomyślność i waleczność, odwaga — to słowiańskie „jakoś to będzie" i to polskie — sarmackie „stać mnie na to", ich bezgraniczne zaufanie do wodza i zaufanie do sił własnych — wszystko było w tem tempie.

Czwórki śpiewały:

— Broń mam,więc bezpiecznym jest wielce
i nie dbam o żadne okłaski — —
Znam Brzegi, znam Czarków, znam Kielce,
Chęciny — i Korczyn — i Laski.

Szli młodzi chłopcy, piętnastoletni niemal, o marsowym wyglądzie starych wiarusów. Krzysztofowi przypomniała się zwrotka:

„— Nam mówią: — I coście za chłopy?..
15 lat... dajcie im buty! — —
— My sami sypiemy okopy!
Przed nami pękają granaty!!" —

Dostrzegł w szeregach Kałała. Chciał podejść i oddać mu medalion — lecz czwórki w tej chwili znów zaśpiewały. Śpiewał wraz z innymi i Rataj. Wobec wesołych dźwięków piosnki nie miał odwagi zakomunikowania kolędze tragicznej wiadomości...

„W karności mej błyszczy swoboda!
uczucia i myśli me wazkie!
Gdy w rowie strzeleckim mym woda,
podkładam pod siebie menażkę!

i dalej:

„Tornister mi wspiera ramiona,
Ćelt mokry okrywa mi nogi — — —
Spoglądam... W krąg ziemia czerwona,
W krąg blaski dziejowej pożogi"... — —

Krzysztof odnalazł swój pluton i wsiąknął w niego. W pierwszej chwili żałował, że nie przyprowadził ze sobą z wąwozu jeńca, ale już w następnym momencie zapomniał o tem. Zapomniał o głodzie i zmęczeniu. Niewyszukane słowa piosnki i jej rytm raźny zlewały mu się na piersi otuchą. Śpiewał teraz wraz z innymi:

— Manlicher wymyślił manlicher,
więc trzymaj go twardo w swem ręku
ot strzelim salwami!... Wnet wicher
powstanie i grozy i lęku — —
Gdy wskaże Piłsudski swą trzciną
przyszłości otwarte wrzeje,
czyż naszą, czyż naszą jest winą,
że krew się obficie poleje?!... — —

Czuł się odrodzonym moralnie. Zapomniał o dniu przeżytym. Zapomniał o wszystkiem. Szedł coraz raźniej. Ważył w sercu i umyśle zagadkę woli ludzkiej i jej bohaterskich przejawów. Z tyłu za nim krwawiła wielka, nieostygła jeszcze łuna zachodu.

Bolesław Zygmunt Lubicz.

Z pamiętnika Legionistki.

Byłam w Kieleckiem, gdy wkroczyła kadrówka Wojsk Polskich. Natychmiast zgłosiłam się na sanitaryuskę; przeznaczono mię do szpitala na Leśniczówce, gdzie przebyłam dość długo. Zebrano nas — sanitaryuszki, z sobą, po trzechtygodniowym pobycie, kiedy wojska nasze zmuszone były się wycofać. Ostatnim pociągiem przyjechałam do Krakowa, gdzie pożegnałam się z moimi chorymi. Ich odesłano do szpitali, mnie do organizacyi żeńskiej strzeleckiej. Czułam się tu nieswoją, gdyż przypuszczałam, że i mnie będą mogła narówni z żołnierzami narażać się i nieść jo-moc cierpiącym, a tu przeznaczono mię do pracowni pleczków, chlebaków.

Poczęłam pędzić nad robotą życie spokojne, monotonne, przeplatane tęsknią piosnką strzelecką. W organizacyi mię lubiono; byłam wesołą i pracowitą. Często przy robocie skarżyłam się i rozmawiałam o tem, jak by to dostać się do szeregu i być żołnierzem, żołnierzem polskim.

Podzieliłam się nawet swemi marzeniami z niektóremi koleżankami, które również zapragnęły dostać się do linii. Z-częśliwy układać plany. Pewnego dnia obcięłam włosy, co spowodowało u komendantki wielkie oburzenie, gdyż jak mi mówiła przeznaczyła mię do jakichś ważnych celów, tymczasem ja jej to uniemożliwiłam.

Postanowiwszy być koniecznie w szeregu naszych strzelców, którzy wtedy byli w Kieleckiem, wzięłam od naszej komendantki urlop do Kielc na dni kilka. Poczekałam bez marszrutę, gdyż marszrutnie wydawano; bilet kupiłam tylko do 8-ej stacyi, gdzie mię wysadzono.

Zostałam sama pomiędzy Niemcami. Z rezygnacyą czekałam na to co dalej będzie; czy odeślą mię do Krakowa?. Nie miałam żadnych legitymacyi. Po kilku godzinach nadjechał pociąg ze strzelcami, wracającymi z Krakowa.

Nie pytając o pozwolenie, schowałam się do wagonu; pociąg ruszył. Nie wiedziałam dokąd jadę, ale znajdowałam się w pociągu, komendantem którego był strzelec, więc uważałam się za zupełnie bezpieczną, choć kilka razy chciano mię wysadzić. Sytuacya na ogół była nieszczególna. Wojska nasze cofały się z pod Warszawy i Kielc. Przebrałam się w wagonie po męsku i z kompanią wracającą do pułku przyszłam pod Brzechów, gdzie pułk ów stał na pozycyach. Pamiętałam doskonale rok siódmy, gdy Moskale i mnie osobiście dokuczyli; pamiętałam, że brat mój zginął od kul moskiewskich w jednej z walk na Litwie, a ja dostałam kilka nabojek kozackich i ciągano mię po sądach. Nie mogłam więc nie być czynną, nie mogłam siedzieć przy rodzicach: gdy kraj cały stawał do walki ze znienawidzonym wrogiem, ja miałabym pozostać w tyle, ja od lat 15-tu pracująca w organizacyach?!.

Poszłam i chciałam być tam gdzie najniebezpieczniej.

Jeden ze strzelców poradził mi przyłączyć się do ich kompanii, która w nocy miała iść do ataku. Ucieszyłam się tą myślą i nie pytając już nikogo o pozwolenie zostałam z nimi.

W nocy o godzinie 3-ej wymarsz z Brzechowa pod Krzywopłoty.

Gdy przyszliśmy do chaty na spoczynek, plutonowy zapytuje: kto mnie przydzielił do jego plutonu; wymieniłam pseudonim komendanta transportu z Krakowa. Cóż miał ze mną robić? zostawić w wiosce w strzeleckim mundurze nie mógł, gdyż Moskale za nami postępowali, więc pozwolił mi zostać w plutonie. Tak doszliśmy pod Krzywopłoty, gdzie po kilkuminowym spoczynku ruszyliśmy na pozycye. Pamiętam noc gdy z okopów szliśmy na żołacyę do młyna.

O kilometr od nas wielka wieś cała w płomieniach. Czerwona wstęga pożaru przed nami, strzały dokoła, a my skradamy się jak potworki cichutko do młyna, gdzie otrzymujemy kilka godzin spoczynku.

Nie mogłam spać pomimo zmęczenia.

Jestem na wojnie żołnierzem!

A więc nakoniec ziściło się to, o czem nieraz sama powątpiewałam!

Co chwilę zrywałam się, bo mi się zdawało, że budzą nas na alarm.

Na drugi dzień został pluton nasz w młynie na placówce, reszta kompanii poszła do okopów. Cały dzień i noc następną wystawiano wedety. 4-ry godziny spoczynku i znów

dwie na warcie. Musieliśmy stać skąpani po pas w błocie. Tak przeszła doba jeszcze.

Na drugi dzień szósty baon atakował wieś. Kule gwizdały okropnie, a przelatując przez ścianę, zostawały w następnej lub trzeciej izbie; z dziwnem uczuciem słuchałam tego gwizdu i huku armat. Kazano nam się położyć na ziemi, by nie tak łatwo dosięgały nas pociski.

Jeden z kolegów podniósł się by zapalić papierosa, mówił: „może to już ostatni". Gwizdnęła kula tuż koło mojej głowy i ugodziła mówiącego; mózg jego wypryskł mi na rękaw. Równocześnie zerwaliśmy się bo zakomenderowano wycofywanie się z placówki. Był to pierwszy trup, jaki ego widziałam na wojnie. Nie czuję się żalu i długo się nie pamięta; zginął jak wielu ginie... Później chowaliśmy go u stóp ruin zamku. Jeszcze dwie doby nocowaliśmy na śniegu pod namiotami, zrobionymi z gałęzi. Zimno było okropnie. Nie pozwolono nam odejść, gdyż musieliśmy być w bliskości jako rezerwa pierwszej linii. Ulokowaliśmy się na górze, skąd dokładnie widać było okolice i pozycye.

Pierwszy raz widziałam wojska austryackie idące do ataku: przebiegali po kilku: ostrzeliwano ich gwałtownie. Widziałam jak ranny narazie rzuca się, potem pełznie powoli z powrotem wołając sanitaryuszy.

Wycofano nas z pod Krzywopłotów.

W międzyczasie pazeniosłam się do I-go plutonu, gdzie było mi lepiej, gdyż także brat mój w nim się znajdował.

— — — — — — — — — —

Zmęczeni kilkudniowym marszem z Nowego Sącza przyszliśmy na pozycye. I-szy pułk poszedł zaraz do ataku; huk armat straszny. Drogi zajęte transportem rannych, chałupy przez sanitaryuszy i sztab; nam pozwolono przespać się w stodole parę godzin, w ryaszt-tanku.

Gdyśmy się już ułożyli do snu przychodzą Węgrzy do tej samej stodoły. Depczą po nas by dostać się wyżej na słomę. Odepchnęłam jednego, który wlazł mi na nogi; on zaczął bić mię kolbą. Strzelec, który leżał bliżej mnie złapał za kolbę. Węgier z bagnetem porwał się na niego, lecz go nie uderzył. Krzyk, przekleństwa i i o mało nie doszło do bójki na bagnety w ciemnej stodole. Człowiek w czasie bitwy zwierzęcieje, z niczem się nie liczy i jest mu wszystko jedno co się stanie.

Musiał plutonowy i kompanijny usiłakać przemową, że jesteśmy przecie jednem wojskiem, idącem przeciw wrogowi i nie wolno nam się kłócić wtedy, gdy wspólnemi siłami musimy walczyć. Dużo jeszcze mówił na ten temat, to uspokoiło nas i Węgrów. Jeszcze kilka słów rzuconych z naszej strony i posnęliśmy pomimo zimna, przytuleni jedni do drugich. Noc przeszła spokojnie; rano gdy wyszłam na dwór, wieziono już z pozycyi naszych strzelców z I-go pułku. Spotkałam kilku znajomych, zawołali na mnie chcąc się pożegnać przed odjazdem, — oni do Krakowa, my na pole walki. Podeszłam do nich; ranni wyglądali strasznie: brudni, zabłoceni, poprzewiązywane twarze, nogi i piersi, ciepła krew parowała z ran. Pomimo bólu, jaki musieli cierpieć, byli weseli ze zdobyli okopy rosyjskie, opowiadali przebieg bitwy z odrobiną chełpliwości. Byli zadowoleni, że będą w Krakowie. Pożegnaliśmy się, życząc im prędkiego wyzdrowienia, oni nam szczęśliwego przebiegu bitwy.

Ranni pojechali dalej. Myśmy zjedli śniadanie i wkrótce potem cichutko poszliśmy na pozycye przez las.

Po drodze spotkaliśmy znowu rannych niesionych przez sanitaryuszy.

Wiara żartuje: „za godzinę i nas tak poniosą", humor wyśmienity.

Na nieznajome pozycye nie lubimy iść w nocy; był dzień, więc nic nie psuło nastroju.

Podeszliśmy wąwozem o kilkaset kroków od pozycyi moskiewskich. Drugi pluton poszedł pierwszy — „Mochy" ostrzeliwali go zawzięcie. Plutonowy został ranny w głowę; z twarzą całą we krwi miał na tyle siły, że przyszedł do nas; opatrzono go i poniesiono dalej.

Odpoczywaliśmy gwarząc.

Brat mój siedział opodal od nas i był smutny. Nie odzywał się, on zawsze taki wesoły i dowcipny, żartujący ze mnie — żołnierza, teraz siedział zawyślony i tylko jednego po drugim dmił papierosa. Kolega jego szkolny rozmawiał ze mną, chcieliśmy wesągnąć go do rozmowy: uśmiechał się smutno i nie odzywał się wcale.

Przyszła i na nas kolej ataku; padła komenda „w tyraliery i biegiem do okopów", szybko rozwinęliśmy się i dopadliśmy okopów; moskiewskie były o jakie 300 kroków od naszych; strzały padały gęsto, ale przy przebieganiu nikogo nie trafiono; gdy wskoczyliśmy do okopów zaczęliśmy strzelać gęsto; trudno było się powstrzymać, gdyż Moskali było widać doskonale. Brat mój, jako kopral, poszedł ze swoją sekcyą na prawo od nas, tak że nie mogłam być w jednym z nim okopie.

Zapalił się brat podczas strzelania, bo nie zawsze się na tak dobry cel; zapomniał że stojąc w okopie jest tam doskonałym celem dla Moskali; nie było przy nim nikogo ktoby mu zwrócił uwagę; strzelał też bez ustanku, ciesząc się że zabił jednego, drugiego, gdy w tem został sam zabity. Dostał ekrazytówką w czoło. Śmierć miał lekką. Nie wymówił ani słowa, nie jęknął.

Zabity brat mój, towarzysz i opiekun w wojsku, najlepszy kolega. Gdy się o tem dowiedziałam—nie wierzyłam; nie mogło mi się w głowie pomieścić, że go już niema, gdy w tem naoczne przekonałam się; musiałam uwierzyć... Nie płakałam, choć płakałabym pewnie w czasach pokojowych, ale tam w okopach zmniejsza się żal; za chwilę i ja tak mogę leżeć z roztrzaskaną głową. Zostaliśmy z jego kolegą w jednym okopie; on stracił towarzysza lat dziecinnych i kolegę szkolnego, ja brata i najlepszego opiekuna. Wpółny smutek kazał nam się trzymać razem i naprawdę byliśmy nierozłączni; gdy ja paliłam się do strzelania i do połowy wyłaziłam z okopa, on zmuszał mię do schowania się i strzelania z ukrycia. Przesiedzieliśmy w okopach 3 doby, ciągle czuwając. Spać nie było można, zresztą głodno i chłodno.

Moskale strzelali celnie — trupów było wiele, bardzo wiele, cała tyraliera za okopami, chować ich było niepodobieństwem. Pozycya była w lesie; nie było drzewka całego, wszystko jak kosą pościnane od kul ekrazytowych.

W nocy spadła mi raptem gałęź na oczy, nic nie widać, ciemno, zaczyna się strzelanina z obu stron. Amunicyi nam dostarczają bez ustanku, wedety wystawić niepodobna, więc wszyscy musimy czuwać noc w noc. Dostaliśmy 1/2 bochenka chleba i jedną konserwę na dobę, papierosów wcale. Pamiętam w dzień wilii przyszło kilku towarzyszów do naszego okopu złożyć życzenia i podzielić się opłatkiem, którego nie mieliśmy.

Wydobyliśmy z pleczków żelazną porcyę, po kilku małych sucharków i po kawałku cukru i to zastąpiło nam wieczerzę wigilijną; popijaliśmy wodą z ruczaju zasłanego trupami.

Na trzecią noc zarządzono wycofywanie się, by w godzinę potem znów wrócić do tych samych okopów.

Gdy wracaliśmy podchodzili do mnie starzy towarzysze broni i radzili mi zostać, gdyż napewno idziemy na bagnety i wielu z nas nie wróci... Jakto! ja która zawsze dzieliłam z nimi smutki i wesele, teraz, gdy najgorsza nadeszła chwila, mam zostać w tyle? nie, nigdy! chciałam iść w pierwszej patroli, ale mi nie pozwolono. Poszliśmy; przednia patrol tylko zginęła, my z powrotem dostaliśmy się do naszych okopów, gdzieśmy

przesiedzieli do 3-ej po południu dnia następnego...

Cofaliśmy się pod strasznym ogniem. Moskale szli już na bagnety, o kilkadziesiąt kroków byli od nas. Po 3-ch dniowem czuwaniu zmęczeni, i głodni uciekaliśmy kilka kilometrów lasem, ostrzeliwani ogniem karabinowym i artyleryjskiem. Gdy się ściemniło zupełnie, zatrzymaliśmy się, by mogli się zebrać żołnierze rozproszeni po lesie. Dziwna to była zbiórka! Przy blasku księżyca wyłaniają się z krzaków ciemne postacie i słychać głosy: „komp. I baon II" i t. d. Dowiadywano się kto zginął: Józek, Stach, Michał i t. d. Szkoda, dobry był chłopak! I narzekamy; tyle trupów, tylu rannych, zdobyliśmy 3-y rzędy okopów moskiewskich odrutowanych po to, żeby teraz się cofać.

Gdyśmy się zebrali, poszliśmy do wioski przepędzić tam resztę świąt Bożego Narodzenia; tam dostaliśmy podarunki świąteczne. Przysłane były przed świętami, dla wielu takich, którzy z szeregu ubyli.

W wiosce Austryacy zwracali się do nas z szacunkiem „Strzelcy dobrze się biją." Czego tylko zażądaliśmy, dawano nam natychmiast.

Z wioski tej po parudniowym spoczynku pomaszerowaliśmy do Lipnicy Murowanej.

A stamtąd po 19-to dniowym spoczynku poszliśmy do Kęt.

W Kętach nas spotykano kwiatami, chorągwiami i okrzykami.

Defilada przed Dziadkiem, okrzyki i wiwaty na rynku na cześć jego. Dziadek objeżdża szeregi na swej kasztance, cały ubrany w kwiaty i wieńce, przemawia jak do dzieci swoich, wzywa byśmy byli grzeczni i dobrze się sprawowali na spoczynku. Wszyscy bardzo go lubią i gdzie się pokaże, serce się raduje: Dziadek z nami, nic nam się złego nie stanie — powtarza każdy żołnierz, — pod Jego komendą czujemy się bezpieczni zupełnie; być z Nim zawsze jest marzeniem żołnierza.

Batalony rozmieszczono po wsiach okolicznych. Nasz batalion stał w Czańcu.

Rozlokowano nas po kilku po domach. Parę razy w tygodniu ćwiczenia, potem odpoczynek nad szachami lub książką; urządzamy wycieczki do lasu, czasem tańce i hulanka. Staramy się, żeby nie poznawano, że jestem kobietą, w czem pomagali mi chłopcy; gdy kto z innego plutonu powiedział, że jest kobietą w sekcyi, stanowczo zaprzeczano temu.

Prędko minęło 6 tygodni spoczynku; szliśmy znów na pozycye. W drodze powiedział nam kapitan, że idziemy do Królestwa...

Powitano wiadomość gromkiem „Wiwat!"

Każdy wolał bić się w Królestwie niż

w Galicyi. Pociągami przyjechaliśmy do Jędrzejowa w początkach marca.

Po wesołości i śpiewach poznano strzelców, poznano i cieszono się, że znów są ci weseli i grzeczni chłopcy.

Po paru dniach przyszliśmy na pozycye nad Nidę; nie wierzyliśmy gdy nam mówiono, że są pieczki i ziemianki w okopach. Dotąd siedzieliśmy w okopach zrobionych na prędce, — tu pozycye stałe. Rozlokowaliśmy się; nasza sekcya nierozdzielna zajęła jedną ziemiankę; było ciasno, ale nikt nie chciał być osobno. Do Nidy położonej między pozycyami chodziliśmy po wodę w dzień; śpiewano rosyjskie piosnki.

Chadzaliśmy do wioski na spoczynek na tydzień i znów do okopów.

Pamiętam jeden z patroli nad Nidą.

Cała kompania poszła jako ochrona saperów, którzy budowali most; siedmiu przeprawiło się na drugi brzeg, przez wodę po szyję. Gdyśmy się wydostali na brzeg przeciwny, Moskale tuż przed nami zapalili dwa stosy słomy i oświetlili nas doskonale; byliśmy pewni, że zagrzmi salwa i żaden z nas nie wyjdzie cało. Jakoś nic! Podsuwamy się cichutko bliżej; nikogo niema, śmielej idziemy dalej. Niedaleko drutów moskiewskich położyliśmy się; zaczęły padać gęste strzały. Było to w początkach kwietnia, noce zimne, lód na wodzie, płaszcze sterczały na nas zmarznięte; siedzieliśmy tak całą noc, jako szpica kompanii. Zimno było, kostnieliśmy kompletnie, nie myśleliśmy o sobie, obserwowaliśmy okopy i czy Moskale nie podsuwają się. Kule gwiżdżą i oświetlają nas co chwila rakietami.

Nad ranem gdy przyszedł rozkaz powrotu do swoich okopów, trudno było się podnieść, tak byliśmy zmarznięci. Lecz jakoś nikt nie chorował po tej kąpieli, herbata gorąca rozgrzała nas, ubranie wyschło na słońcu...

W noc gdy mieliśmy atakować przychodzi wiadomość, że Moskale cofnęli się; kawalerya i nasz I pułk ścigają ich. Poprzedniego dnia zginął z naszej sekcyi jeden kolega na patrolu; po przejściu Nidy znaleziono zwłoki jego pod drutami moskiewskimi z głową przebitą bagnetem. Pochowano go koło ruin u podnoża góry Skowronny. Upiłowałam mu wianek, drugi kolega wyrzeźbił na kamieniu napis, imię i nazwisko. Dobry był towarzysz i odważny żołnierz, zginął bohaterską śmiercią.

Na grobie jego stanęła cała kompania. Kompanijny powiedział mowę, zmówiono pacierz i marsz dalej.

Strasznie wyglądały wioski spustoszone przez Moskali i austryackie armaty; nie było całego domu nad brzegiem Nidy. Ludność zgnębiona wracała do swoich siedzib, z których pozostały tylko zgliszcza. Płacz i narzekania tych ludzi rozbudzały litość w każdym.

Przeszliśmy ziemię Kielecką i część Radomskiej, staczając po drodze mniejsze i większe bitwy. Pod Konarami staliśmy na pozycyach przeszło miesiąc. Pierwszego dnia poszliśmy do ataku; ostrzeliwano nas szrapnelami i granatami, kilku padło z II i III plutonu, u nas jeden tylko ranny. Zadaniem naszem było ściągnąć ogień artyleryi na siebie, wtedy gdy I baon skutecznie atakował z lewego skrzydła, biorąc 2 karabiny maszynowe i sporo jeńca, sam ponosząc małe straty. W nocy zajęliśmy pozycye, okopaliśmy się i siedzimy. Przychodzi rozkaz zmiany frontu, a po paru godzinach cofanie się. Moskale zachodzą z flanki. O godzinie 3 po południu pod strasznym ogniem cofamy się; granaty i szrapnele padają co kilkanaście kroków, kilka kilometrów odkrytego pola przed nami.

Nie mogłam już biedz dalej! marsze, upał, brak żywności i zmęczenie tak ostatniemi czasy podkopało moje zdrowie, iż czułam się strasznie źle. Padłam na ziemię; podbiega jeden z kolegów, odbiera mi karabin i prosi by iść dalej, kule gwiżdżą, jesteśmy na odkrytem polu — poszłam. On pomimo własnego zmęczenia niósł mój karabin. Przeraźliwy ryk szrapneli i granatów nie robił wrażenia, oglądamy się gdzie pocisk pada i wolno posuwamy się dalej. Przechodzimy jakąś wioskę, chaty się palą, ryk bydła, płacz uciekających ludzi. Za wsią lasek — tam spoczywamy chwilę i idziemy zajmować inne pozycye, na których pozostajemy kilka tygodni. Bajeczne mieliśmy czasy, słczna pogoda — pozycye moskiewskie daleko, tylko noce były niespokojne: patrole, placówki.

W jakiś czas potem atak na Przepiórów! Szliśmy weseli, ze śpiewami, przechodziliśmy koło kwatery Dziadka, uśmiechnął się do nas przyjaźnie.

Gdyśmy się podsuwali padło nas wielu. Szeregi nasze zostały przerzedzone, kompaniego, którego wszyscy tak bardzo lubili, zabito. Iść na bagnety nie podobna, cztery moskiewskie karabiny maszynowe na przestrzeni kilometra, nas za mało. Nad ranem odwrót do swoich okopów.

Byłam jeszcze w bitwach pod Ożarowem, Tarłowem, Urzędowem; choć nie oszczędzałam się nigdy, jakoś żadna kula nie drasnęła mnie. Czułam się jednak coraz gorzej ze zmęczenia i wyczerpania. Po ciężkiej kampanii postanowiłam wypocząć...

Kazik

starszy żołnierz Bryg. I. Pułk a. baon a. komp. 3.

Księgarnia Lubelska

K. Majewski i S-ka

W LUBLINIE,

Krakowskie - Przedmieście № 17.

Księgarnia, Skład nut, Wypożyczalnia książek, Skład materjałów piśmiennych.

Zakład Optyczno-Mechaniczny

oraz MAGAZYN BRONI

PRZYBORÓW MYŚLIWSKICH, FOTOGRAFICZNYCH

J. W. Morawskiego

LUBLIN,

Krakowskie-Przedm. № 138.

Sklep polskich nowości

J. CHOLEWIŃSKA

Krakowskie-Przedm. № 30

vis à-vis hot. Saskiego.

Orzełki, Gry, Zabawki, Pocztówki, Papeterja.

MAGAZYN

PŁÓCIEN i OBIĆ MEBLOWYCH

A. KUKLIŃSKI

LUBLIN, Krak-Przedm. № 58.

Posiada w wielkim wyborze:

PŁÓTNA MADAPOLAMY. BIELIZNA STOŁ. RĘCZNIKI. ŚCIERKI.

Chustki wełniane. Kołdry watowane. Swetry. Kalesony. Skarpetki. Szaliki.

Portjery. Firanki. Dywany. Chodniki. Kapy pluszowe.

Puch. Wata. Bielizna flanelowa dla wojska. BARCHANY. WEŁNY. Włosie oczesane etc.

KSIĘGARNIA

Skład Nut i Materjałów Piśmiennych

W. CHOLEWIŃSKI

W LUBLINIE,

ul. Początkowska № 1

vis-à-vis cukierni W-go Semadeni.

THEATRE

„LOUVRE“

Pierwszorzędny „Illusion“

Krakowskie-Przedm. № 48.

POLECA:

SUKNIE, BLUZKI, SZLAFROKI, HALKI, BIELIZNĘ męską i damską, TRYKOTAŻE,

NOWO ZAŁOŻONY SKLEP GALANTERYJNY

A. Walicka i S-ka

w LUBLINIE,

Hotel Polski

róg Kapucyńskiej i Namiestnikowskiej,

CENY PRZYSTĘPNE.

POLECA:

NORYMBERSZCZYZNĘ, KOŁNIERZYKI, KRAWATY, SPINKI, BROSZKI i t. d.

SKŁAD WYROBÓW NOŻOWNICZYCH
ORAZ NACZYŃ KUCHENNYCH
M. KLOPOTOWSKIEGO
w LUBLINIE.
ul. Kapucyńska № 2.

SKŁAD WĘDLIN
A. Krzyżanowskiego
w Lublinie,
Krakowskie-Przedm. № 172 (obok poczty).
Telefon № 608.

Zakład zegarmistrzowski
Juljana Jensza
w Lublinie, Krak.-Przedm.
Hotel Europejski.
Poleca zegarki i zegary pierwszorzędnych fabryk. Przyjmuje wszelkie reperacje w zakres zegarmistrzostwa wchodzące.

A. Zarębski
Lublin, Krak.-Przedm. № 20.
Skład lamp, Naczyń kuchennych, Łóżek żelaznych, Wózków dziecinnych, Mebli składanych.

Z. MAJEWSKA
LUBLIN,
KRAKOWSKIE-PRZEDM. № 52.
POLECA
Konfekcję dziecinną, Materjały piśmienne i Zabawki w wielkim wyborze.

A. KALICKI
w LUBLINIE,
Krak.-Przedm. № 128, obok Kościoła Ś-go Ducha.
MAGAZYN WYROBÓW ZŁOTYCH, SREBRNYCH i PLATEROWANYCH.

MAGAZYN JUBILERSKI
K. KROKOWSKI
W LUBLINIE,
Krakowskie - Przedmieście,
obok kośc. Kapucynów.

„PRACA"
ul. Kapucyńska,
Poleca okrycia damskie i dziecinne, bluzki, kapelusze i galanterje.

Pierwszorzędny Kinematograf **„Oaza"**
HOTEL EUROPEJSKI.

RESTAURACJA
HOTELU „POLSKIEGO"
PRZEKĄSKI I PIERWSZORZĘDNE NAPOJE.

GEBETHNER i WOLFF
W LUBLINIE,
Krakowskie-Przedmieście № 31.
Księgarnia i Skład Nut muzycznych.
Prenumerata pism.

EKSPEDYCYA
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO, PRZEGLĄDU BIBLIOGRAFICZNEGO, BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIAŃSKICH.

FABRYKA
CZAPEK i KAPELUSZY MĘZKICH
S. Januszewskiego
W Lublinie, Kapucyńska № 173.

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH
Pawła Dziewieckiego
w Lublinie, Hotel Polski, ul. Kapucyńska.
Przyjmuje wszelkie obstalunki tak z własnych jak i z powierzonych materjałów. Wykonywa elegancko i na czas umówiony podług najnowszych żurnali
po cenach przystępnych.

HANDEL WIN,
TOWARÓW KOLONIALNYCH
I DELIKATESÓW
ZYGMUNTA ROMANOWSKIEGO
w LUBLINIE,
róg Krakowskiego-Przedmieścia i ul. Gubernatorskiej.
Telefon № 430.

ZEGARMISTRZ
Jan Jandzyk
LUBLIN, ul. Krak.-Przedm. 51.
wprost Sądu Okręgowego.
Poleca zegary i zegarki oraz przyjmuje wszelkie reperacje.

MAGAZYN GALANTERYJNY
Antoniego Barteczko
W LUBLINIE,
Krak.-Przedm. hotel Angielski.
Poleca: bieliznę, trykotaże, krawaty, szelki, rękawiczki, spinki, perfumerje, parasole, wyroby skórzane, norymberszczyznę i t. p.
CENY NIZKIE.

St. RADECKI
SKŁAD APTECZNY
„Droguerie"
oraz przybory do fotografji.
Krakowskie-Przedm. № 46.

SKŁAD PAPIERU
materjałów piśmiennych i rysunkowych
oraz przyborów artystyczno-malarskich
R. Dominski i S-ka
Lublin,
ul. Kapucyńska № 1, hotel Wiktoria.
Dostawa do biur i kancelarji.

CAFÉ-RESTAURANT
J. Zwolińskiego
w Lublinie, Krak.-Przedm. № 32.
HOTEL RZYMSKI.
KONCERTY codziennie od godz. 8 do 12-ej w nocy, znanego trio artystycznego pod dyr. WILHELMA VIERTLA
Kuchnia pod kierunkiem pierwszorz. kucharza. Codziennie **śniadania, obiady i kolacje.** Trunki pierwszorzędnych firm. Poleca się łaskawej pamięci WW. PP. **J. Zwoliński.**

Dezynfekcya mieszkań i rzeczy.
SKŁAD APTECZNY
PERFUMERJA i SKŁAD FARB
A. BERNATOWICZA
prowizora farmacji
w Lublinie,
Krakow.-Przedm. № 17.
Dezynfekcya mieszkań i rzeczy.

Sklep i Pracownia Trykotów
Zofji Zembrzuskiej
Gubernatorska 3.
wykonywuje wszystkie roboty w zakres trykotarstwa wchodzące i posiada gotowe na składzie.

Sp/K/132

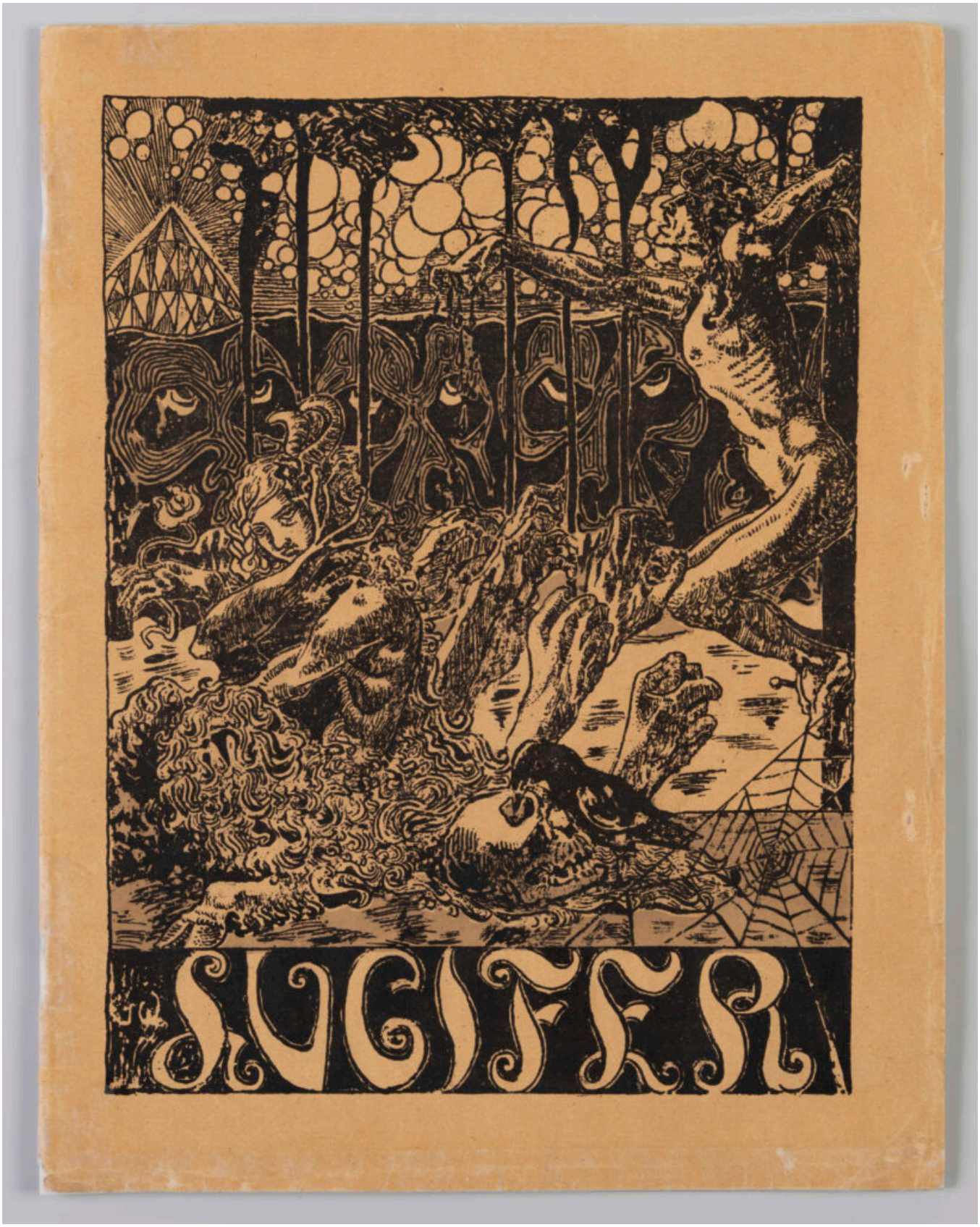

Kietlicz-Rayski, Konstanty (1868-1924) (malarz), Drukarnia „Pośpieszna” i Pracownia Stempli Kauczukowych Stanisław Dżał w Lublinie (Lublin; 1908-około 1944) (drukarnia),

Jednodniówka `29 listopada 1830`

Rodzaj:	
Twórca/wytwórnia:	Kietlicz-Rayski, Konstanty (1868-1924) (malarz), Drukarnia „Pośpieszna” i Pracownia Stempli Kauczukowych Stanisław Dżał w Lublinie (Lublin; 1908-około 1944) (drukarnia)
Miejsce powstania:	Lublin (województwo lubelskie)/miejsce znalezienia
Technika:	druk
Tworzywo:	papier
Wymiary:	Wysokość: 21,5 cm, Szerokość: 27 cm
Słowa kluczowe:	jednodniówki Lubliniana Piłsudski, Józef (1867-1935) portrety męskie powstanie listopadowe (1830-1831) reklamy wydawnictwa okolicznościowe drukarnie lubelskie
Nr inwentarzowy:	ML/H/P/122
Stała lokalizacja:	Muzeum Narodowe w Lublinie, oddział – Muzeum Historii Miasta Lublina (Brama Krakowska), Pl. Łokietka 3, Lublin